MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 1 WARSZAWA, 3 STYCZNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

GDY się oderwie myśl od wydarzeń politycznych, które nam są najlepiej znane, lub które nas najbliżej dotyczą, gdy zrobić próbę objęcia całości życia ludzkiego na ziemi, to faktem, który się wysuwa przed wszystkie inne jest utrata przez rasę białą, zamieszkującą Europę, swego prymatu w świecie. Jeszcze istnieją pozory tego prymatu, lecz w istocie rzeczy już go niema. Jeśli się zważy, jak wielką rolę odegrała rasa biała w dziejach ludzkości, to trzeba dojść do wniosku, że stoimy wobec faktu wielkiej doniosłości. Skupiały się dzieje niegdyś nad morzem Śródziemnem, później nad Atlantykiem, obecnie przenosi się ośrodek świata nad ocean Spokojny. W ciągu ostatnich lat siedmdziesięciu wyrosła na wielkie mocarstwo Japonia; Rosja umacnia się na Syberii; Chiny przechodzą głębokie przeobrażenie wewnętrzne, które może zrobić z nich wielką potęgę; ujawniają się tendencje do samodzielności wśród licznych ludów azjatyckich... Po drugiej stronie Pacyfiku rośnie wciąż potęga Stanów Zjednoczonych, wkraczają do dziejów państwa południowo-amerykańskie; usamodzielniają się dominia angielskie—Kanada i Australia; — wreszcie szykują się do obrony swych pozycyj nad Pacyfikiem i nad oceanem Indyjskim stare mocarstwa europejskie—Anglia i Francja...

Dojrzewają też nad oceanem Spokojnym olbrzymie zagadnienia i olbrzymie konflikty, w których zaznacza się już, a w przyszłości ujawnić się może nowe oblicze narodów Azji. Narody te stanowią już dziś masę 1.300 milionów ludzi (wobec 700 milionów rasy białej), i nietylko zaopatrują się we wszelkie narzędzia techniczne, posiadane przez narody europejskie, lecz na polu gospodarczem, dzięki swej pracowitości, zręczności, małym wymaganiom i posiadaniu wielkich bogactw naturalnych, robią już dziś groźną konkurencję państwom europejskim. A pamiętać trzeba, że są one dopiero na początku swego przebudzenia po długim śnie dziejowym.

Jeśli się zważy to wszystko, co powyżej tak pobieżnie zaznaczono, to trzeba dojść do wniosku, że jest już zagrożony nietylko prymat Europy w świecie, lecz samo istnienie całego jej dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego. Czyż wobec tego faktu można przejść obojętnie? Nie, postokroć nie! Dorobek rasy białej jest tak wielki i ważny, że nie możemy się pogodzić z jego zaprzepaszczeniem, a zresztą nie można bez walki przyjąć wyroku śmierci.

Instynkt samozachowawczy zmusi narody europejskie do samoobrony, do szukania sposobów obrony kultury i cywilizacji europejskiej oraz pozycji politycznej naszego kontynentu w świecie. Stąd wyprowadzamy wniosek, że na terenie polityki międzynarodowej musi się zjawić, jako czynnik zupełnie realny *poczucie pewnej wspólności interesów narodów europejskich*. Dotychczas było tak, że się o tem mówiło i pisało, lecz nie brało się tego na serio. Narody europejskie wyrosły i zmężniały w nieustannych między soba walkach i w nieustannem współzawodnictwie. Nie będziemy nad tem ubolewali, bo sądzimy, że ta walka i to współzawodnictwo były potężnymi czynnikami w rozwoju tych narodów, że w dużym stopniu sprawiły to, iż ludy rasy białej zajęły pierwsze miejsce wśród ludów świata

i że wydały z siebie tę kulturę i tę cywilizację, które są ich chlubą.

Lecz czasy się zmieniły. Na wszystkich kontynentach powstały lub powstają państwa narodów, które mają „wolę potęgi“ i które na polu działalności politycznej i gospodarczej stają do współzawodnictwa ze starą Europą. W tem położeniu jest nietylko misją lecz bezpośrednim, realnym obowiązkiem państw europejskich szukanie sposobów porozumienia dla właściwego zorganizowania obrony wspólnych interesów.

To, co mamy na myśli, tak formułując ten postulat, niema nic wspólnego z tem, co przed wojną określano jako walkę z „żółtem niebezpieczeństwem“, ani też z frazesami o starciu między Wschodem a Zachodem. Jesteśmy dalecy od wszelkiej mistyki politycznej, traktujemy te sprawy bardzo rzeczowo, naszem dążeniem jest zwrócenie uwagi na to właśnie, że w czasach dzisiejszych jest obowiązkiem nawet najbardziej realnych polityków europejskich uznanie „wspólności“ interesów państw europejskich za ważny czynnik w polityce międzynarodowej.

Na gruncie ściśle politycznym wypełnienie zadania powyżej wskazanego musi się wyrazić w tem, co w sposób ogólny i ogólnikowy wyraża się dziś w postulacie „zachowanie pokoju“. Tylko, że obecnie jest to hasło abstrakcyjne, oparte na micie pacyfistycznym, a więc nie mające żadnego wpływu na rzeczywistość. Gdy się zagadnienie utrzymania pokoju w Europie zwiąże z zadaniem obrony pozycji Europy w świecie oraz kultury i cywilizacji europejskiej, to nabierze ono odrazu innej treści, stanie się realnem zagadnieniem politycznem. Nie będzie ono też wtedy związane z utopijnemi zamierzeniami rozbrojenia i z całą mistyką pacyfistyczną, będącą czynnikiem rozkładu duszy europejskiej. Można będzie wtedy mówić o ograniczeniu zbrojeń i o dostosowaniu ich do nowej sytuacji w świecie, a to jest rzecz zgoła inna, niż to wszystko, co się dziś ma na myśli, gdy się mówi o pokoju i rozbrojeniu.

Wprowadzenie do świadomości ludzi, kierujących polityką państw europejskich, przeświadczenia, że istnieją pewne wspólne interesy narodów Europy wpłynęłoby na zmianę metod i planów polityki tych państw, stałoby się niewątpliwie czynnikiem dobroczynnym, doprowadziłoby do usunięcia nadwrażliwości i ciążących nad naszym kontynentem obaw przed zbliżającą się jakoby katastrofą, wprowadziłoby nowy ton, utworzyłoby nową atmosferę w stosunkach politycznych Europy. Kto wie nawet, czy rozkładająca się dziś i zawieszona w powietrzu Liga Narodów, ograniczając swe zadania do spraw europejskich i zerwawszy z całą mistyką pacyfistyczną i „humanitarną“, nie przeobraziłaby się w instytucję żywotną i użyteczną.

Akcja polityczna i wysiłki robione przy pomocy środków materjalnych nie wystarczą, by utrzymać przy życiu kulturę i cywilizację europejską. W tych dziedzinach narody Azji już dorównały lub nawet przewyższyły Europejczyków. Przekonaliśmy się na jakim poziomie stoi polityka japońska, czy chińska. Dały nam się już poznać flota i armia japońska. Wyroby przemysłu azjatyckiego skutecznie konkurują na całej kuli ziemskiej z wyrobami przemysłu europejskiego i amerykańskiego. Gdzie indziej więc trzeba szukać ostoi dla nowego dorobku kulturalnego i cywilizacyjnego — trzeba zejść do tych źródeł, z których wyrosły i kultura i cywilizacja, a więc do dziedziny Ducha. Z Ducha, jaki uformował się na naszym kontynencie pod wpływem Grecji, Rzymu i Chrześcijaństwa, wyrosły kultura i cywilizacja europejska. Tylko odrodzenie tego ducha może dać siłę i wytrwanie narodom Europy.

Jeśli tracimy w Azji jedną pozycję za drugą, to nie tyle dlatego, że narody azjatyckie konkurują z nami skutecznie na terenie gospodarczym i posiadają siły zbrojne zaopatrzone we wszystkie środki techniczne, ile dlatego, że obniżył się poziom duchowy Europy, że ludy tego kontynentu przeżywają okres kryzysu moralnego. Nie możemy się równać dziś w dziedzinie duchowej z niektóremi narodami azjatyckiemi, które posiadają głębokie uczucie religijne, w których istnieje przewaga zbiorowości nad jednostką i nieprzerwana tradycja obyczajowa i kulturalna.

Europa indywidualistyczna i materjalistyczna nie może odzyskać prymatu na ziemi, ani nawet stać na równym poziomie z innemi częściami świata. Tylko wówczas będą narody europejskie mogły się ostać i rozwijać, jeśli zdobędą się na odrodzenie wewnętrzne, na nawrót do tych podstaw duchowych, na których został zbudowany gmach ich kultury i cywilizacji. Czynnikiem tego odrodzenia mogą się stać w Europie nowoczesne prądy narodowe, które podjęły walkę z indywidualizmem i materjalizmem, a więc z tem wszystkiem, co doszło do swego szczytowego rozwoju w ideologii Wielkiej Rewolucji Francuskiej, i co opanowało życie narodów europejskich w ciągu wieku XX-go.

Jeśli ktoś uzna przesłanki, z których wyszliśmy na początku tych rozważań, to musi dojść do wniosku, że najpierwszym obowiązkiem „europejskim” Polaka jest pracować nad tem i walczyć o to, by te założenia ideologiczne i te uczucia podstawowe, z których wyrosły europejskie cywilizacja i kultura, a które dziś ożywić pragnie nowoczesne odrodzenie narodowe, zapanowały w naszym kraju, stały się znów żywymi składnikami duszy polskiej. Spełniwszy ten obowiązek, przyczynimy się walnie do przedłużenia życia „Europie” jako czynnikowi dalszego rozwoju ludzkości.

STANISŁAW KOZICKI

WEWNĘTRZNA NIEZALEŻNOŚĆ GOSPODARCZA

SPRAWA ŻYDOWSKA.

SPRAWA żydowska jest zagadnieniem społeczno-gospodarczem, politycznem, jest wreszcie zagadnieniem naszej kultury duchowej. Nie możemy rozpatrywać tej sprawy we wszystkich jej odgałęzieniach. Punktem wyjścia w jej traktowaniu jest oczywiście dobro naszego narodu; postulat, by usunąć żydów z naszego gospodarstwa, by się od nich uniezależnić, wypływa oczywiście z tego ogólnego założenia. Ale ogromna przewaga żydów w wielu dziedzinach gospodarstwa Polski, która trwa nie od dzisiaj, wytworzyła pewnego rodzaju sugestję, że żydzi są nierozerwalnie złączeni z naszem gospodarstwem. A zarazem chce się nas przekonać, że żydom zawdzięczamy bardzo wiele materjalnych zdobyczy. Otóż zastanówmy się nad tem pytaniem, czem żydzi byli w gospodarstwie Polski, bo wtedy zyskamy perspektywę dla oceny teraźniejszości i planów na przyszłość.

Dzięki rozpowszechnionym poglądom Wernera Sombarta, mocno zresztą zachwianym, utarło się przekonanie, że promotorami nowoczesnego rozwoju gospodarczego byli żydzi. Ale w każdym razie ten pogląd nie może mieć zastosowania do Polski. Rola żydów w naszych dziejach gospodarczych — nie wchodząc nawet w jej ocenę z punktu widzenia narodowego, była bezwzględnie ujemna. Że nie zawdzięczamy żydom dawnej świetności gospodarczej, tego dowodzi choćby proste chronologiczne następstwo faktów.

Polska doszła do największego rozkwitu gospodarczego w w. XVI. Wtedy brała wielki udział w handlu europejskim, wywoziła zboże, towar leśny, woły, skóry i t. d. Statystyka tego handlu wskazuje na bardzo mały udział żydów; zaznaczyli się w pewnym stopniu w handlu lądowym, z krajami niemieckiemi i Czechami, nie było ich w handlu morskim. Ówczesne rzemiosło i przemysł dźwignął się bez współudziału żydów. Po miastach polskich były nieliczne kolonje żydowskie, zajmujące bardzo niską pozycję ekonomiczną. Oczywiście Żydzi trudnili się tu i ówdzie lichwą, dzierżawili cła, myta, młyny, zwłaszcza na wschodzie, ale nie odegrali wybitniejszej roli ekonomicznej. W pracy p. t. „Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu", doszedłem do następującego wniosku: „Żydzi w Polsce nie byli temi drożdżami na których dopiero zakwitło bujniejsze życie ekonomiczne; byli fermentem, który rozsadził dawną organizację gospodarczą, a na jej miejsce nie stworzył czegoś, coby podniosło siłę ekonomiczną kraju".

Im bardziej handel upada, tym większy jest w nim udział żydów; pod koniec XVIII wieku na targach lipskich z Polski uczestniczą w nich niemal wyłącznie żydzi. Na wsi trudnią się arendarstwem, a przedewszystkiem lichwą. Jest faktem, że w praktyce nie stosują się do nich ograniczenia stopy procentowej. Np. w wielkiej Królewskiej Ekonomii Samborskiej w I połowie XVIII wieku żydzi biorą od pożyczek, udzielanych poddanym królewskim, najczęściej po szelągu od złotego na tydzień czyli ponad 50 od sta rocznie, gdy duchowieństwo po 7 do 10%, a szlachta od 10 do 30%. Żydzi wypożyczają sobie fundusze, także kościelne, zabezpieczając je na dochodach swoich ziemstw, na niski procent, a obracają lichwiarsko tym kapitałem.

Dzieje skarbowości w II połowie XVIII w. dowodzą, że stosunek żywiołu żydowskiego do skarbu Rzeczypospolitej oparty był na nieuczciwości. Stwierdzają to bardzo liczne współczesne świadectwa, głównie dokumenty urzędowe. Żydzi trudnią się zawodowo przemytem przez granicę. Gdy wprowadzono podatek od papieru stemplowanego, żydzi zaczęli odrazu wyrabiać fałszywe stemple. Gdy wprowadzono monopol tytoniowy, żydzi nie nabywali jego wyrobów na własny użytek, a natomiast na wielką skalę handlowali nielegalnie tytoniem. Pogłówne żydowskie płacili tylko od części ludności, i to nie od przeważnej części. By się z pod niego wymknąć, fałszowali spisy ludności żydowskiej, posługując się w tym celu przekupstwem. W czasie Sejmu czteroletniego wszystkim warstwom ludności podniesiono podatki na 100 tysięczną armię. Ale najmniej ta zwyżka stosunkowo dotknęła żydów, którzy za pośrednictwem znanego Piatolego, wtedy gdy sprawy żydowskie były regulowane, składali „ofiary" do skarbu króla.

W w. XIX przeszła i przez Polskę „rewolucja przemysłowa", dzięki której powstał przemysł fabryczny i warstwa robotnicza. Czy żydzi byli pionierami nowoczesnego przemysłu? Przyjrzyjmy się nazwiskom, które zapisały się w jego dziejach, z trudem znajdziemy między nimi wybitniejsze nazwisko żydowskie. Założycielami przemysłu byli przeważnie ludzie obcego pochodzenia, ale nie żydzi. W dawnem Królestwie, oczywiście poza Lubelskim, wybija się jako wielki organizator Piotr Antoni Szteinkeller. A obok niego można wymienić Girarda (Żyrardów), Szlenkierów, Temlerów, Grohmanów, Scheiblerów i t. d. W Poznańskiem wysuwa się Hipolit Cegielski; w dawnej Galicji w przemyśle naftowym Stanisław Szczepanowski; a obok niego Mac Garvey i inni.

W poszczególnych środowiskach przemysłu proces zdobywania sobie przez żydów pozycji ma typowy przebieg; można to śledzić w Łodzi, w Bielsku, Białej i t. d. Przyszedł kiedyś skromny majster do Polski, zwykle z Niemiec, i dorabiał się ciężką pracą. Jego warsztat wzrastał z pokolenia na pokolenie, aż powstała wielka fabryka, produkująca solidnie dobry towar. Ale przyszły różne kryzysy i wstrząśnienia, nastały nowe warunki i obyczaje handlowe, w których lepiej się czuje bardziej ruchliwy żywioł żydowski. I zaczął jak pasorzyt, opanowywać rezultaty naszej pracy. Sam nie wiele stworzył, woli zagarnąć gotowe już warsztaty, często po to, by je dewastować lub dawną dobrą produkcję zastąpić bardziej popłatną tandetą.

Żydzi nie byli i nie są dobrodziejstwem dla naszego gospodarstwa. Gdyby obfitość żydów była gwarancją pomyślności gospodarczej, bylibyśmy jednym z najbogatszych krajów świata.

A tymczasem jesteśmy jednym z najbiedniejszych narodów europejskich. W Polsce jest ciasno, nie dla wszystkich jest miejsce. Program który zmierza do eliminacji żydów z naszego gospodarstwa, opiera się na dwóch przesłankach. Po pierwsze, na tem że ziemia polska, jeżeli nie ma być w Polsce nędzy, nie potrafi udźwignąć tej paromiljonowej masy żydowskiej, a powtóre na tem, że specyficzny udział żydów w naszem gospodarstwie wykrzywia naszą kulturę materjalną i duchową i nie pozwala na pełny jej rozkwit.

Zagadnienie żydowskie w Polsce nie jest zagadnieniem zwyczajnej mniejszości narodowej, która jest osiadła na części terytorjum państwa i w oparciu o rolnictwo, o swój związek z ziemią, stanowi element, mocno zakorzeniony. Żydzi z rolnictwem mają bardzo słaby związek (oczywiście musimy tego pilnować, by ten związek się nie wzmacniał); opanowali w części przemysł, zwłaszcza niektóre jego gałęzie, a główna ich masa żyje z handlu towarowego i pieniężnego. Ta struktura społeczna żydostwa jest zarazem źródłem jego siły i słabości.

Źródłem siły dla tego, że żydzi pochłaniają wielką część dochodu społecznego, panując w handlu. Uzależniają od siebie rolnika, rzemieślnika przez handel hurtowy surowcami i półfabrykatem, dalej przez to, że wyzyskują chałupników, którzy są zdani na ich łaskę i niełaskę. Trudniąc się lichwą pieniężną, poddają w zależność od siebie wielkie masy ludności. A słabość ich ma w tem swe źródło, że gdy społeczeństwo Polskie przestanie być blerne, gdy polskie gospodarstwo narodowe wytworzy brakujące mu ogniwa, to wtedy żydzi staną się czemś zbędnem w naszem gospodarstwie. Producent tylko do czasu jest zależny od obcego kupca; gdy się zorganizuje, zyska sobie przewagę w handlu i stworzy własne pośrednictwo handlowe.

Wielka liczba ludności poskiej może z dwóch przedewszystkiem stron zaatakować żydów. Najpierw jako konsumenci którzy wciąż jeszcze nabywają wiele towarów z rąk żydowskich. Konsument nie jest w dzisiejszych czasach żywiołem biernym. Może się stać przedmiotem polityki ekonomicznej. Może wybierać pośrednika. I gdy Polak nie zechce kupować u żydów, znaczna część żydostwa straci rację bytu w państwie polskiem.

A powtóre przeważna część ludności polskiej zajmuje się rolnictwem, a bodaj czy nie połowa żydowskiej masy żyje bezpośrednio, czy pośrednio, z handlu wiejskiego. Gdy rolnik będzie sprzedawał albo polskiemu kupcowi, albo własnej spółdzielni i tam kupował swoje towary, gdy ze wsi znikną żydowscy karczmarze, dzierżawcy sadów i pachciarze, powiększy się udział rolnictwa w roździale dochodu społecznego przez zmniejszenie ilości pośredników, nadmiar ludności wiejskiej znajdzie choć w części zatrudnienie w handlu. A wtedy te masy żydów nie będą miały co robić ani na wsi ani w miasteczku.

Powie ktoś: a co się stanie z żydami, gdzie oni się podzieją? Wielu ludzi w Polsce, którzy uznają potrzebę jakiegoś uregulowania sprawy żydowskiej, uzależnia swój „antysemityzm" od tego, czy znajdą się większe tereny dla emigracji żydów z Polski, od możliwości zorganizowania jej na większą skalę. Pragną tę sprawę powierzyć Lidze Narodów i uważają, że już zrobili duże ustępstwo prądom antyżydowskim. Ale to zagadnienie trzeba odwrócić. Gdy żydzi naprawdę zrozumieją że są zbędni w Polsce, gdy zamkną się przed nimi dotychczasowe ich możliwości gospodarcze, wówczas dopiero znajdą się dla nich tereny emigracyjne.

Żydzi w całym świecie stanowią jeden solidarny naród, prowadzący jedną politykę żydowską. Żydzi polscy mają na Zachodzie, w Stanach Zjedn. Am. Półn. bardzo potężnych przyjaciół. W dzisiejszej konjunkturze ci żydzi z zachodu nie pragną tego, by masy wschodniego żydostwa do nich emigrowały, obawiając się u siebie wzrostu antysemityzmu. W Stanach Zjednoczonych żydzi tamtejsi nie mogli czy nie chcieli przeprowadzić podwyżki kwot immigracyjnych dla krajów, z których może się rozwinąć wychodźtwo żydowskie. A z drugiej strony żydzi w Polsce, w ogromnej swej większości, traktują Polskę jako swój kraj, bodajże jako swoją kolonię, nie chcą nas opuścić w swej wielkiej masie, czy to z powodów politycznych, czy też gospodarczych. Marzą o opanowaniu Polski, o wytworzeniu takich stosunków, w których zależna od nich większość polska będzie posłusznem narzędziem polityki żydowskiej. Prowadzą systematyczną pracę nad zdobyciem polskiego gospodarstwa. Wyjdą z Polski, gdy nie będą mieli w Polsce źródeł utrzymania — nie ma innego sposobu, by zagadnienie masowej emigracji żydowskiej uczynić naprawdę aktualnem.

Kto patrzy sceptycznie na te możliwości emigracyjne, niechaj sobie przypomni dawniejsze wędrówki żydów, przechodzenie tego koczowniczego żywiołu z jednego kraju do drugiego. Nigdzie w górze nie jest zapisane, że żydzi mają nas uszczęśliwiać po wieczne czasy. Jeżeli w krótkim stosunkowo czasie po wojnie opuściło ziemie zachodnie Polski około 800,000 Niemców, to nie mamy powodu wątpić o możliwości masowej emigracji żydów. Gdzie oni pójdą — to już ich sprawa. Konieczność ich emigracji uzasadnia się zresztą nie tylko względami narodowymi, lecz również i czysto gospodarczymi.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że nikt w Polsce nie podnosi sprawy żydowsktej, ale że chce się uzdrowić naszą budowę społeczną. Wtedy okaże się, że jest u nas przerost pośrednictwa handlowego. W Polsce ilość osób, trudniących się handlem, jest w porównaniu z wartością produkcji, największa w Europie. Pośrednictwem zajmuje się solidarna masa ludzi, którzy przeważnie pędzą nędzny żywot, a równocześnie stanowią zbyt wiele ogniw tego pośrednictwa. Jest dalej naturalną konsekwencją rozdrobnienia własności i silnego przyrostu naturalnego na wsi, że ta ludność chłopska będzie się brała do handlu. Nie należy jednak dążyć do tego, by ilość osób, trudniących się handlem, nadal wzrastała. Czyli że z ekonomicznego punktu widzenia są zbędne setki tysięcy dzisiejszych pośredników, to znaczy żydów; z punktu widzenia narodowego są oczywiście zbędne nie tylko setki tysięcy.

Najważniejszą dziedziną w której należy się wyzwolić zpod przewagi żydowskiej, jest handel. Próby w tym kierunku były podejmowane już nieraz. Nie zawsze się powiodły, ale w każdym razie zachodnie dzielnice Polski potrafiły wykazać, że mogą doskonale obejść bez żydów w handlu. Nikt nie

będzie twierdził, że handel ziem zachodnich ma niższy poziom, niż handel innych dzielnic Polski, opanowany przez żydów. Niepowodzenia nasze w tych innych dzielnicach mają swoje przyczyny, które można usunąć.

Walkę z żydami w handlu czasami rozpoczynało się od góry. Tworząc odrazu hurtownie, syndykaty rolnicze, zakrojone na wielką skalę, które nie miały oparcia u dołu, u drobnych pośredników. Nie jedna taka instytucja musiała upaść. Dzisiaj zmienia się położenie. Dzisiaj ekonomiczny ruch antyżydowski rozwija się przedewszystkiem od dołu, w masach wiejskich i miejskich, Powstaje polski sklepikarz tam, gdzie go przedtem nie było. Zjawia się coraz więcej straganów polskich na targach i jarmarkach. Ten stragan urasta do znaczenia symbolu. Ale zarazem ten ruch, obejmujący wielkie masy, pozbawione jeszcze handlowego doświadczenia i kapitału, daje mocne podstawy pod powstanie wyższych ogniw organizacji handlowej; dzisiej hurtownik, fabrykant polski, znajdzie w zapadłych nawet kątach kraju polskich odbiorców.

Do handlu brali się ludzie, którzy nie tylko że nie mieli należytego przygotowania, bo ostatecznie tego można się nauczyć, lecz nieraz chcieli odrazu żyć na wielką skalę i robić zbyt dobre interesy. Popieranie polskiego handlu nie może być dla żadnego kupca źródłem jakichś nadzwyczajnych przywilejów. Musi on naprawdę współzawodniczyć z żydem, musi handlować tanio, bo inaczej mimo całego bojkotu żydów, nie wytrzyma współzawodnictwa. Bodajże ostatni kryzys wiele ludzi pod tym względem nauczył; nie ma złego, coby na dobre nie wyszło.

A przedewszystkiem zaszła ta zmiana, że dawniej zawód kupiecki zajmował u nas niższe stanowisko w hierarchii społecznej. Do handlu często brał się ten, kto nie mógł sobie gdzieindziej znaleść miejsca; a znowu czasem znikał z handlu ten, kto się czegoś dorobił. Zbogacony kupiec chciał zostać ziemianinem, dzieci kształcił w innych zawodach. Dzisiaj inteligencja polska w swych tradycyjnych zajęciach nie znajduje już miejsca. Jeżeli odwrócimy się od etatyzmu, jeżeli nowych sił nie będzie już wchłaniała biurokracja, to wtedy zwrócą się do handlu żywioły bardziej rzutkie i zdolne. Wtedy już tej dziedziny nie będziemy zostawiali żydom.

Równolegle z eliminacją żydów z handlu pójdzie wypieranie ich z przemysłu. Pozycję żydów w przemyśle ułatwia im ustawodawstwo i administracja, która utrudnia byt uczciwie prowadzonym przedsiębiorstwom, nakładając na nie nadmierne ciężary, a toleruje żydowskie omijanie prawa. Żydzi fabrykanci wymyślili np. sposób, w jaki można wymknąć się z pod ciężaru ustawy o urlopach robotniczych. Żydom sprzyja ustawodawstwo, chroniące nadmiernie dłużnika; fałszywe bankructwa były zawsze specjalnością żydowską. Żydzi panują w chałupnictwie, które w znacznym stopniu zawdzięcza swój rozrost nadmiernemu fiskalizmowi i ciężarom społecznym, a struktura chałupnictwa w żydowskiem wykonaniu ułatwia znacznie unikanie tych ciężarów. Powinno być mniej norm prawnych, ale te, które się utrzyma, powinny być w całości wprowadzone w życie. Z chaosu prawnego i administracyjnego największe korzyści odnoszą żydzi. Należy jeszcze zauważyć, że podniesienie poziomu moralnego administracji również żydom nie pójdzie na dobre.

Byt polskiego przemysłu zależy również od poparca polskiego kupca i konsumenta. A że przemysł, jak wiemy, pracuje przeważnie na potrzeby wewnętrznego rynku, zależny jest od przeważającej masy krajowych odbiorców. Rozwój polskiego handlu ułatwi oczywiście pozycję polskiego przemysłu. W tej ostatniej dziedzinie nie brakuje nam sił fachowych; bardzo często te siły pracują u żydów, którzy przez różne operacje finansowe opanowali sporo przedsiębiorstw, przez innych stworzonych.

Żydzi, w celu utrwalenia swej pozycji w naszem gospodarstwie, prowadzą ofenzywę także i w rolnictwie. Wykupują ziemię, chcą zorganizować żydowską kolonizację wewnętrzną. Nie trzeba specjalnie uzasadniać, że u nas jest za mało ziemi dla ludności rodzimej, by można było do jej władania dopuszczać żydów. Większe majątki, posiadane już przez żydów w niektórych dzielnicach kraju, nadają się doskonale do tego, by być terenem polskiej kolonizacji, tembardziej że żydzi jako właściciele ziemi prowadzą zwykle gospodarkę dewastacyjną. Występują też żydzi, zwłaszcza na ziemiach południowo wschodnich, jako dzierżawcy dóbr tak zw. martwej ręki i prywatnych folwarków. Jeżeli ich właściciele nie potrafią w inny sposób tych dóbr zagospodarować, jest to najlepszym dowodem, że ta ziemia powinna przejść w ręce bardziej odpowiednie i przez to służyć wzmocnieniu polskiego żywiołu.

Omawiając kierunki akcji, zmierzającej do wyswobodzenia się z pod żydowskiej przewagi, do zdobycia pełnej niezależności gospodarczej, uwydatniliśmy bardzo silnie rolę narodu, działającego poza państwem, znaczenie jednostek i związków społecznych w walce z żydami. Ale nie wynika z tego, że zagadnienie żydowskie także i w dziedzinie gospodarczej, można rozwiązać wyłącznie na tej drodze; że wszystkiego dokona akcja bojkotowa i organizacja polskiego społeczeństwa. Niektóre czynniki w naszem państwie zajmują takie stanowisko: niechaj Polacy walczą na gruncie ekonomicznym z żydami, byle ta walka nie przybierała form nielegalnych; państwo jednak nie może się do tej walki mieszać, musi uznawać równouprawnienie wszystkich obywateli.

Mniejsza z tem, że w tej chwili w Polsce nie ma tego równouprawnienia i wysuwa się ten wzgląd dopiero wtedy, gdy interesy żydów są zagrożone. Ale żydzi są „obywatelami" w podwójnem znaczeniu; domagają się pełni praw w Polsce, a równocześnie są obywatelami narodu żydowskiego, który prowadzi własną politykę, który traktuje państwo polskie nie jako cel najwyższy, lecz jako narzędzie własnych celów. Państwo narodowe nie pogodzi się z takiem pojmowaniem obywatelstwa. Będzie dążyło do nadania narodowego charakteru gospodarstwu, czyli że wejdzie w kolizję z żydowskiemi interesami. Gdyby państwo tego nie zrobiło, pełna niezależnść gospodarcza nie byłaby zabezpieczona.

W żydach widzimy żywioł obcy. Wszystkie państwa, które chciały wyzwolić się z pod prze-

wagi obcego przemysłu wkroczyły na drogę protekcjonizmu celnego; traktowały inaczej rodzimą wytwórczość od wytwórczości obcej. Bez tego przemysł w krajach, młodszych gospodarczo, nie potrafiłby się dźwignąć. Jeżeli chcemy mieć polski przemysł i handel i wyzwolić się z pod żydowskiej przewagi ekonomicznej, musimy posługiwać się w tym celu także i państwem. W stosunku do żydów usprawiedliwiony jest **wewnętrzny protekcjonizm narodowy.**

Można zresztą przytoczyć pewne ogólne względy które go uzasadniają. Jeżeli ktoś uznaje walkę ekonomiczną z żydami, to powinien właśnie w imię sprawiedliwości, zabezpieczyć równe jej szanse. Żydzi są w wielu dziedzinach gospodarstwa *beati possidentes*. Mają poparcie żydostwa całego świata. Mają swoje stosunki międzynarodowe. Posługują się metodami gospodarczemi, które nie zawsze są zgodne z naszemi pojęciami o etyce gospodarczej — a to daje im doraźną przewagę. Czy w tych warunkach wyłączenie żydów od dostaw państwowych wymaga specjalnego uzasadnienia? Gdy żydzi zamieszkali w Polsce otrzymują miliony dolarów od żydów zagranicznych na swoje kasy bezprocentowe, jest rzeczą konieczną, by tę przewagę wyrównało państwo na korzyść polskich kas bezprocentowych. Podobnych przykładów przeważających na korzyść wewnętrznego protekcjonizmu narodowego, możemy więcej przytoczyć.

Ten protekcjonizm niemoże oznaczać jakiegoś uprzywilejowania Polaków, pozwalającego im zagarniać niezasłużone zyski; nie może prowadzić do prywatnych monopolów, przynoszących rentę bez twórczego wydatku gospodarczego. Protekcjonizm narodowy nie powinien stwarzać cieplarnianej atmosfery, koszt utrzymania której ponosi skarb państwa. Wyłączenie żydów oznacza tylko otwarcie możliwości walki i współzawodnictwa dla polskiej ludności. **Państwo narodowe nie ma dawać materialnego uprzywiljowania członkom narodu polskiego, lecz nakłada na nich szczególne obowiązki także i w sferze gospodarczego życia.** Ale w każdym razie wyzwolenie się z pod żydowskiej przewagi nie jest możliwe, o ile państwo nie będzie temu celowi służyło. Wynika z tego, że **ze sprawą żydowską łączy się ściśle zagadnienie władzy w Polsce.**

Energia społeczna w walce o pełną niezależność gospodarczą wzmoże się ogromnie, gdy zmiana podstaw rządzenia w Polsce przełamie psychozę zależności od międzynarodowego żydowstwa, gdy utrwali się świadomość, że można rządzić, nie wchodząc w pakty z żydami. Temu ma służyć cała poltiyka gospodarcza i finansowa państwa. Gdy finanse państwa doprowadzi się do równowagi, nie trzeba będzie zabiegać o względy żydowskich bankierów. Gdy żydzi w świecie zrozumieją, że Polska naprawdę zrzuca z siebie ten ciężar żydowski, zaczną szukać miejsca dla polskich żydów. I wtedy Polska odrobi wiekowe zaniedbanie, wytworzy pełne gospodarstwo narodowe. Łudzą się ci, którzy myślą, że dzisiejszy stan sprawy żydowskiej jest wywołany przelotną agitacją polityczną, że to słomiany ogień, który rychło wygaśnie. **To zasadniczy zwrot w dziejach Polski, oparty na głębokich przeobrażeniach naszej psychiki i naszej budowy społecznej.** Polska nie będzie żydowską kolonią, nie stanie się punktem oparcia żydowskiej polityki międzynarodowej.

ROMAN RYBARSKI

KIPLING JAKO POETA

RUDYARD Kipling należy do pisarzy pilnie przekładanych na nasz język. Nie sięgając do żadnych bibliografii ani katalogów, mogę wyliczyć cztery tłumaczenia „Ksiąg dżungli" i osiem tomów kiplingowskich niestrudzonego p. Birkenmajera. Zresztą to wszystko utwory prozaiczne. Poezja znajdowała jedynie tłumaczy okolicznościowych i przypadkowych. Nic dziwnego, gdyż jeży się trudnościami, prawie niepokonalnymi. Gdyby nie zwyczaj Kiplinga dodawania do każdej noweli urywków lub całych krótkich utworów w mowie wiązanej, nie byłby on zapewnie prawie wcale reprezentowany pośród naszych przekładów poetyckich. Jest szerokim kołom naszej publiczności dobrze znany jako prozaik, mało znany jako poeta. Z tego powodu uważam, iż nie od rzeczy będzie poświęcić nieco uwagi tej stronie jego twórczości.

Pierwszy tomik wierszy Kiplinga, wydany w r. 1886, nosi znamienny tytuł „Piosnki departamentów" i jest zbiorem towarzysko-satyrycznych utworów o angloindyjskich biurokratach i wojskowych. Są lekkie i dowcipne, brak im jednak na ogół cech, które będą później nadawały poezji autora jej ton odrębny. Cechy te rozwijają się szybko tak w wierszach, dodawanych do prozy, jak w osobnych zbiorach, których same tytuły otwierają przed czytelnikiem olbrzymią panoramę imperium brytyjskiego — „Ballady koszarowe", „Siedem mórz", "Pięć narodów". Tu już nie widać ewolucji, chyba tę, że Kipling z wiekiem staje się coraz bardziej światowym prorokiem imperializmu, a w związku z tym coraz uroczyściej przemawia, coraz więcej uczy i coraz trudniejszy bywa miejscami do zrozumienia. Trzeba też dodać, że na wybór tematów wpływają wypadki historyczne — wojna południowo-afrykańska, *entente cordiale* z Francją, zamieszki irlandzkie, wojna światowa. Wreszcie dzieli poezja Kiplinga z prozą jego wyczerpanie sił twórczych, widoczne mniej więcej od r. 1910.

Jego styl poetycki stanowi dziwną wypadkową z mowy potocznej, często umyślnie niepoprawnej— gdy idzie o naśladowanie języka majtków i żołnierzy, dialektów i rodowitej angielszczyzny ludzi kolorowych, i z uroczystej mowy biblijnej. Zresztą archaizmy służą nieraz także celowi osiągnięcia kolorytu epoki, gdy temat zaczerpnięty jest z przeszłości.

Co do formy zawdzięcza Kipling wiele Swinburne'owi którego rozgłos przypadł właśnie na czas młodości autora „Kima". Dźwięczne, żywe rytmy jambiczno-anapestyczne, długi, cięższy

znacznie wiersz trocheiczny i urozmaicone rymy zawziętego liberała i rewolucjonisty poszły w służbę równie zawziętego konserwatysty i piewcy imperializmu.

Ulubionym efektem Kiplinga jest refren — w szerszem znaczeniu, bo umieszczany nie tylko na końcu, ale na początku lub w środku zwrotki. Czasem, jak bywa w liryce średniowiecznej, wiąże się on z częścią tylko jednym szczegółem, asocjacją lub samym nastrojem, czasem splata się z nią organicznie i, jak zdarzało się w pierwotnej balladzie ludowej, lekko zmieniany, za każdym razem posuwa tę treść naprzód. Obfite użycie refrenu doskonale odpowiada tej właściwości Kiplinga, że lubuje się on w rozwijaniu i przetwarzaniu przez cały ciąg utworu jednego motywu.

Poszczególne zwrotki „Kołysanki z wyspy św. Heleny" (1910) zaczynają się pytaniami, których pierwsze wyrazy są identyczne. „Jak daleko do Świętej Heleny", pyta się poeta leżącego na łożu śmierci Napoleona, „od bawiącego się dziecka", „od ulicznej walki w Paryżu" (pod kościołem św. Rocha), „od pola pod Austerlitz", „od cesarza Francji" (Kipling myli się w chronologji, lub lekceważy ją dla swego stopniowania), „od przylądków Trafalgaru", „od lodów Berezyny", „od pola pod Waterloo"? W każdym wypadku następuje odpowiedź z dobranemi starannie szczegółami, aż w ostatniej zwrotce zmieni się samo pytanie: „Jak daleko ze Świętej Heleny do bram niebieskiej łaski?" Tu już odpowiedź będzie brzmiała: „Tego nikt nie wie i nigdy nie będzie wiedział, ale ty, dziecino, złóż ręce na sercu, zakryj twarz i po wszystkich nowych gonitwach leż spokojnie".

Pomysł tego utworu olśniewa oryginalnością i świetnością. Konającemu przesuwają się przed oczyma w błyskawicznym skrócie obrazy przeszłego życia, majaczą wizje dzieciństwa — aż do matki, schylającej się nad kolebką, więc dźwięczy mu w uszach nuta kołysanki. Pozorny paradoks (przedstawienie mającej wieczysty spokój śmierci jako uśnięcia dziecka) uderza śmiałością i trafnością.

Przytoczmy parę przykładów innych właściwości poezji Kiplinga. Lubi on niezwykle określać rzeczy i osoby. Metafory te opierają się często na zakwestjonowanem przez rzymskiego poetę porównywaniu wielkiego z małem i na odwrót. Mówiąc o angielskim sierżancie, przydzielonym w funkcji instruktora do armii egipskiej, „Faraon i sierżant", (1897) zrobi z kedywa faraona, a z podoficera cuda czyniącego Mojżesza.

Ten sam utwór stanowi również dobry przykład niedomówień Kiplinga, kierującego się własnemi skojarzeniami i żądającego od czytelnika, aby myślą odbył tę samą drogę, dośpiewując sobie to, czego nie powiedział autor. Oznaczmy także domyślne zdania roztrzelonym drukiem.

Kipling wzdycha nad tym, że Anglia nie docenia wartości „sierżanta Jak — mu — tam" (Whatisname). Sądzi ona wciąż, że jej imperium to Strand i Holborn (ulice londyńskie). Tak to postępuje wobec swego Boga, który obarczył ją jej misją cywilizowania egzotycznych krajów. Ale wyraz God przywodzi poecie na pamięć dźwiękiem Gordona, więc znajdziemy tu w nawiasie wyrazy *and* Gordon. „Tak to postępuje Anglia względem swego Boga (i swego Gordona, który przecież spełnił ową misję, a któremu mimo to pozwolono marnie zginąć w Kartum).

Mistyczne akcenty tego utworu powtarzają się wyraźniej i z większą emfazą w powstałym w tymże roku (1897) najsławniejszym wierszu Kiplinga „Na koniec nabożeństwa" (*Recessional*), wierszu, który ukazał się spowodu jubileuszu Wiktorii w Timesie, 17 lipca.

Kipling nie jest religijny. Jako imperialista wierzy przedewszystkiem w cywilizację materialną i w to, co jego rodacy nazywają *efficency*, etyka członka loży masońskiej w Lahore jest nawskróś utylitarna i świecka. Pod wpływem jednak chwili, którą uważa za wielką, wiara w posłannictwo narodu i trwoga o przyszłość dyktują mu hymn modlitewny.

Zwraca się Kipling do Boga, do Boga „naszych zastępów" w imieniu ludu wybranego, któremu Ten powierzył władzę nad palmą Krajów tropikalnych i nad sosną krajów o klimacie umiarkowanym. Lecz przemawia ze skruszonem sercem. Zastrasza go upojenie potęgą, które rodzi butę, zwracającą się przeciw Bogu, a objawiającą się czczemi przechwałkami, godnemi pogan lub niższej krwi plemion, żyjących bez prawa. Słychać tu wyraźnie nutę osobistą. Kipling zabiera głos, bo sam czuje się winnym. Wstydzi się tego, że pokłada się całą ufność w „dymiącej rurze i żelaznej powłoce" pancerników. I z piersi jego wyrywa się po każdej zwrotce prośba: „Bądź nadal z nami, abyśmy nie zapomnieli" o tobie i o naszem posłannictwie.

Być może, iż pokora tego wiersza jest nieco mniej szczera od jego dumy, w każdym razie Kipling wznosi się tu — bodaj że jedyny raz w ciągu swej twórczości — na wyżyny wielkiej poezji.

Jeżeli w „*Recessional*" odbija się duch dziejów nowożytnej Anglii, to w wielu późniejszych utworach odbijają się ich poszczególne fazy i wypadki. Podróż do Afryki południowej, odbyta na krótko przed wybuchem wojny z Burami, utwierdza poetę w przekonaniach imperialistycznych. Kipling myśli o całym zatargu prostoliniinie, sprawa Anglii jest dla niego stuprocentowo słuszna, (tak, jak n. p. dla Chestertona była stuprocentowo niesłuszna). Ekspansji cywilizatorów egzotycznego świata stanęły na przeszkodzie republiki burskie, trzeba więc użyć przeciw nim siły. Poeta żegna odchodzące na teren walki wojska, mówiąc im o „brzemieniu białego człowieka" (czyli o posłannictwie cywilizacyjnem). Lecz warto raczej zwrócić uwagę na inny, mniej sławny, krótki wiersz, poświęcony zmarłemu w niewoli angielskiej jen. Joubert'owi. Kipling ceni w nim dzielnego przeciwnika, choć nie zapomina zaznaczyć, że Joubert jako żołnierz nie miał nic wspólnego z polityką Transvaalu, która doprowadziła do wojny). Dalszy ciąg jest proroczy: Zwaśnieni pogodzą się w przyszłości dla wspólnej pracy kulturalnej. Niechże, zanim te czasy nadejdą, zabrzmi nad grobem Joubert'a salwa honorowa!

Nie okazał się natomiast Kipling prorokiem w sprawie irlandzkiej.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW TARNAWSKI

SMUTNY POEMACIK O BASI

(Z MOTYWÓW LUDOWYCH)

Letnim wieczorem
drzewa są chore:

Po listkach powoli:
płacz.
Gałązki zaplatają palce,
sad ma tak ciepłe skronie —

Patrz,
Basia stoi we drwalce.
Wiatr naokoło jej nóg smukłych wióry goni,
Sukienka się gniewa, wzdyma;
wiatr żłobi fałdy niebieskie;

Rozkochana dziewczyno,
kiedy stoisz na steczce,
po rowach strumyk kamyki tuli:
— luli — luli —

Nie dobrze słuchać tego dzieweczce...

Chmury także jak matki,
siadają nad lasem.
Czuby drzew to kołyski.
Kołysankę woni zaczynają kwiatki,
dmą w srebrne trąbki bekasy,
trawa grzechotką błyska —

Basiu, Basieńko kochana,
Franek namawiał od rana:
— pójdź — pójdź! —

A w lesie wiatr gra na piszczałkach,
drzewa za sobą wodzi.
Polana we mgły odpływa jak łódź
robaczki wskazują kierunek olszyn jak świetliste strzałki —

Pocałować — nie szkodzi!

— Franku! Franiu!
Fra...... Nie!!!

Potem na niebie jedna, druga łza.
Wiatr odgarnia włosy z bladego czoła,
zagląda w oczy.
Basiu, płaczesz? Gwiazdki jak łzy, jak płakanie,
koszulka chwieje się w krzewach koronkową mgłą,
kępy drzew ze szparami świateł jak stodoły:

boję się, boję,
mamo!

Poco Franek namawiał od rana?
Pod lasem przecież figura stoi —
a Franek skłamał...

Teraz księżyc nie zaczesze włosków potarganych,
koszulka na piersiach podarta na szloch,
Basiu maleńka!

Już chałupa. Poprzez mroki blaski: pachnie groch.
Szum jabłoni przynosi złociste okienka,
Basieńko!

— — — — — — — — — — — — —

Każdy krzyk taki, że aż słoma szlocha:
szelest wiernie się czołga za drżącymi palcami.
Baby podnoszą latarki.
Z latarek jasne ptaki wylatują,
siadają na belkach,
mrok przez szpary stodoły światła ciepłe wdycha.

Potem blaski wypłoszyło czyjeś wzniesione ramię,
w deskach kolejno gasły jasne szparki.

Basia mroku na oczach nie czuje.
Ból rośnie, nożami drgań przekłuwa skórę,
każde drgnienie rozrywa krzyk.
Krew — krew.

Oczy zamykały widzenia: las—mgła—szumy bure,
strach w spojrzeniach niebieskich stygł.
Znów trzepot rzęs i znów zabłysnął gniew.

Latarki kołują nad Basią.
Dłonie kobiet na ciele rozgrzebują ból.
Każde omdlenie ból gasi,
budzi się srebrną łzą!

Baby schylały głowy, cienie jak derki spadały na chorą,
dusiły.
Wiatr zrywał z dachu stodoły kanciaste trzaski,
topole zrzuciły na dach szumu ciężki worek.

Nagle krzyk krwawo nabrzmiał na głosie jak żyła,
zerwały się z latarek przestraszone blaski!
Potem płacz cichy zaczął spływać między słomę,
ostatni krzyk nóg szelest wśród słomy rozkopał...

A już na dworze ktoś rękami chwytał wiatr, biegnąc do domu,
i wołał ku odblaskom okien: — Urodził się chłopak!!!

— — — — — — — — — — — — —

Luli — luli. —

Na rękach ciężar ciepły, najmilszy.
Słowa Basi nachylają się nad płaczem.
Pocałunek najlepiej tuli,
wszystko tłumaczy.

Nad drogą kurz, dymią wozów koła
kurz na chwilę oddalił płot, potem czuby sztachet odsłonił.
Aniołpański wysoko na wieżyczce kościoła
dzwoni.

Basiu, Aniołpański z ciebie się nie śmieje,
strumyczek srebrzystych dzwonków
twego synka małego tuli...

Gdzie Franek? Nad zagrodą Franka trzepot: kogut pieje.
A tobie nawet krwawią lecące biedronki,
ciężko chodzić z niezagasłym bólem — —

Basieńko!
Nie dla ciebie pachnące bzami matczyne okienka,
nie dla ciebie głaszcząca grzbiet koński ojcowa ręka —
nie!

Luli — luli —

Las szum zgina, bagna pluskiem pot ścierają z traw,
toczą się po wodzie złote, słoneczne kule,
środkiem szelest trzcin—kępa kołysze się jak łódź.

Basiu, co ci? Jedna—druga łza...
To bagna jak Franek namawiają: pójdź—pójdź —
Woda—woda. Wabi brzęk słonecznych łusk.
Wytłumacz im, Basiu... Słowa wciąż zasłania szloch...

Cisza w błękicie odbita. Błękit wśród wody. — Plusk! —
Srebrne koła pod trzciną—srebrne koła...
— — Och!...

JERZY PIETRKIEWICZ

NA WIDOWNI

Nowy rok musi być lepszy.—Poprawa w nas samych.—Życie ułatwione i utrudnione.—Miłość do kobiety i Ojczyzny.—Przed stu laty w Niemczech i dziś u nas.

LEDWIE co minął Sylwester i oto nadeszła pierwsza w tym roku niedziela. Rok nowy zawsze budzi jakieś bliżej nieokreślone nadzieje i krzesze w człowieku niczem właściwie nieuzasadniony optymizm. Każdy choć przez chwilę ma złudzenie, że musi być lepiej, i radośniej myśli o tem, co go czeka. Ale choć powszechny, ten noworoczny nastrój do refleksji niewiele nastręcza i nie będę pisał żadnych optymistycznych komunałów. Będzie, co ma być, a raczej to, na co sobie sami zapracujemy. A co za tem idzie myśl o nowym roku powinna być przedewszystkiem myślą o nas, o sensie naszego życia, o jego zadaniach, a nie o jakiejś cudownej interwencji, która magicznem dotknięciem swojej czarodziejskiej różdżki wszystko raptem na lepsze odmieni. Takie naiwne nadzieje ostatecznie dobre tylko dla dzieci.

Ale nie wyrzekajmy się, broń Boże! ani nadziei, ani marzenia. Marząc o lepszym nowym roku, marzymy o lepszej Polsce i o tem, że w naszym kraju się poprawi. A ta poprawa warunków tkwi w nas samych; — coś ogólnego zawsze musi się zacząć od szczególnego i do społeczeństwa jest droga tylko przez człowieka. To też o ile w Polsce ma być lepiej, to przedewszystkiem musi być lepszy w Polsce człowiek. Wszystko inne już bez porównania mniej ważne i walcząc o Wielką Polskę, walczmy uparcie o dążącego do wielkości Polaka.

Coś podobnego poruszyłem już przy okazji pani Simpson, ale nie wyczerpałem wtedy tematu, bo to, co pisałem o wyrzekaniu się, to tylko cząsteczka tych rozlicznych zagadnień, jakie zawiera ów dręczący problem naszego stosunku do świata. Na jeszcze jedno warto tam zwrócić uwagę — na koncepcję życia, bo w owej aferze starły się z sobą koncepcje życia ułatwionego z tą drugą, którą nazwałbym dla kontrastu — koncepcją życia utrudnionego.

Spór między temi dwiema koncepcjami jest dziś na porządku dziennym i o nim trzeba pamiętać, myśląc o kryzysie, bo nie pokona go w żaden inny sposób człowiek, który nie wie, jak ma żyć.

Wiedzieć jak żyć, to mieć świadomość sensu życia, a co zatem idzie i jego celu. My, zwolennicy życia utrudnionego ten sekret znamy i wiemy, że celem tym jest — zbawienie. Postępujemy też odpowiednio. Ale ci, którzy chcą żyć łatwo, zwykle nie wiedzą, jak odpowiedzieć na to kardynalne pytanie i mówią sobie poprostu — przyjemność. Ale jakie do niej drogi?

Przyjemność, jeśli ją rozumieć tak, jak ją pojmował Epikur, okaże się bardzo bliską naszego ideału, ale epikurejczycy są mali. Oni nie szukają jakiejś jednej przyjemności, która, już przez to samo, że jedna, byłaby warta poszukiwania, ale dążą jedynie do wielu przyjemności, maleńkich i doraźnych, do ich natychmiastowego realizowania, do niekrępowania się nigdy i niczem, do beztroski, do swobody — wogóle do tysiąca rzeczy bardzo powabnych, które jednak poddane tylko owemu — „tak teraz chcę" — w rezultacie czynią z ich życia, albo pasmo nudnych małości, albo trwały niedosyt, albo wreszcie, co najczęściej, katastrofę. W każdym razie, tak czy inaczej, czynią życie nędznem i małem, a w dusze sączą rozpaczne przekonanie że — „nie warto żyć."

I zapewne, że tak jak oni żyć nie warto, bo nie warto żyć bez ideału, bez jakiegoś wielkiego marzenia. W walce życiowej trzeba koniecznie mieć coś szczytnego przed oczyma, inaczej nikt jej trudu nie przetrwa, i nie zniesie. Krzepić zaś może tylko coś stałego, coś wychodzącego po za moje ja. Własna przyjemność to niedostateczny cel życia, zmienny, marny i w dodatku nieosiągalny. A także, co nieskończenie ważne, w naszych nastrojach tkwiący i nie broniący nas nigdy przed nami samymi. Musi też doprowadzić do katastrofy, a gdy ona nieuniknienie przyjdzie, biedny człowiek nie wie, jak ma się znaleść i jak ma znieść ciosy, gdy całe życie nie hartował się nigdy i nie gotował na nie, goniąc lekkomyśnie od rozkoszy do rozkoszy. Człowiek, co chciał żyć łatwo, szkoły nieszczęścia nie wytrzyma; albo ono go złamie, albo będzie musiał przejść do innych niż dotychczas zasad i stać się innym.

I on i jego życie niewiele warte, bo dobre tylko w powodzeniu. Tymczasem nietylko prawdziwych przyjaciół, ale też i wartość wszelkich zasad poznaje się w biedzie. Co dobre w biedzie, to naprawdę dobre. I życie trudne ma właśnie ten plus, że szkoli nas do biedy i w biedzie nie zawodzi, pozwalając ją przetrwać i pokonać.

Życie trudne to życie heroiczne, gdzie do szczęścia się dąży, nie ulegając swym nastrojom, ale opanowywując je i podporządkowując jednej myśli przewodniej. Ma ono swój wielki cel i jasno określone do niego drogi. Nie wszystko w takim życiu dostępne i nie obiecuje ono radości, ani nie wabi łatwiznami, ale jest konsekwentne i jednolite. Jest twarde, ale piękne i mocne, a przedewszystkiem jest wielkie — nierozproszkowane i nie zagubione. Wreszcie podkreślić także należy, że, wbrew pozorom, tylko ono dać może szczęście, bo tylko ono dać może wielkie uczucia, a im większe uczucia tem większa dusza i tem bliższe owo mityczne szczęście.

Wielkich i bogatych przeżyć życie łatwe nam nie da, bo to jest sprzeczne z jego podstawową zasadą, która każe nam iść po linji najmniejszego oporu i żyć chwilą, a więc czemś niesłychanie przemijającem i nietrwałem. Zresztą, nie wdając się w dyskusję — skonkretyzujmy to sobie na uczuciu tak podstawowem jak miłość, a jasno tę prawdę zobaczymy.

Wielka miłość to miłość do jednej tylko osoby — stała i wieczna, i ona tylko stanowi ją w ujęciu naszej cywilizacji. Reszta to nadużywanie jej imienia i namiastka dla małych dusz. Jak ona powinna wyglądać, też pisać nie trzeba, wszyscy znamy cudne słowa świętego Pawła o tej miłości co to „nie zajrzy, nie szuka swego, jest cierpliwa, wszystkiemu ufa i wszystkiego się spodziewa"... Ale ona nie do pomyślenia w życiu łatwem, bo takie kochanie nie jest przecież łatwe i psułoby sobą cały styl życia. Tam królować musi inna zasada, że nie ma wcale jednej, jedynej miłości, i jednej jedynej ukochanej, ale że miłość to tylko ciągłe kochanie, gdzie, krótko mówiąc, każda dobra. Przy takiem ujęciu, nie zostanie nic z wielkiego marzenia, a słowo miłość będzie oznaczać poprostu miłostkę, przygodę, czy wreszcie samo zmysłowe pożądanie. I tak być musi, bo przecież po-

stawienie sprawy — ona jedna, — to djable utrudnienie sobie życia i uzależnienie jego szczęścia od czyjejś wolnej zgody, która nie zawsze przecież musi nastąpić. A że w łatwem życiu na niepowodzenia miejsca nie ma, więc nie ma miejsca i na miłość, która z niepowodzeniem liczyć się musi. Ale trzeba się właśnie zdecydować, czy chce się iść łatwą ścieżką małych, marnych rzeczy, czy też trudną drogą szczytnego i wielkiego.

I tu odrazu skok od spraw jednostki do społeczeństwa, na które ona się składa. Miłość to nietylko miłość do kobiety; kocha się tysiące rzeczy, kocha się przedewszystkiem ojczyznę. Ale kto kobiety kochać nie potrafi, ten i ojczyzny swojej też napewno nie potrafi. To ta sama skala ujęcia i zachodzi tu to samo, co z miłością Boga i bliźniego — bardzo ścisłe *iunctim*, gdzie zdolność do jednego jest sprawdzianem zdolności do drugiego. Monolit cywilizacyjny musi być bez skazy, i łatwe życie właściwie miejsca na ojczyznę nie daje, bo to jest takie utrudnienie, wiązanie się miejscem i pewnym światem pojęć... Tymczasem ludzkość, kosmos, to komunały, któremi się od konkretnych obowiązków wspaniale można wymówić, a które doraźnie niczem nas nie krępują. Widać więc jasno, jak człowiek we wszystkiem co ludzkie, co życiowe jest społeczny i jak właściwie nie ma dziedziny prywatnego życia, bo wszystko się wzajem o siebie zahacza i plącze.

Ale wróćmy do ojczyzny. Do niej się też pisze erotyki, ona też jest „święta kochanka" czy „pani słoneczna", jej także się obiecuje „wierną miłość aż do grobu". Musi też mieć dla siebie człowieka, co „nie szuka swego" i co wszystko dla niej poświęci, a więc człowieka nie goniącego za łatwiznami. A że w tych swoich widowniach wpadłem w nałóg cytowania wierszy, więc i tu nie powstrzymam się od podobnej pokusy. Wiersz swoją piękną i aforystyczną formą podkreśli i zsumuje obszerne nieco wywody. Szkoda, że ten wiersz znowu niemiecki, ale co robić, gdy tak klasyczny dla moich rozumowań swą treścią i skojarzeniami; zaczyna się obietnicą miłości:

Treue Liebe bis zum Grabe,
Schwör ich dir mit Herz und Hand,
Was ich bin und was ich habe
Dank ich dir mein Vaterland.

Nicht in Worten nur und Liedern
Ist mein Herz dir Dank bereit,
Noch ich will in Tat erwidern,
In der Nat, im Kampf und Streit

Und in Freuden, wie in Leiden,
Ruf ich Freund und Feiden zu.
Ewig sind verein wir beiden
Und mein Trost, mein Glück bist du.

Treue Liebe bis zum Grabe
Schwör ich dir mit Herz und Hand,
Was ich bin und was ich habe
Dank ich dir mein Vaterland!

Czyż to nie klasyczny erotyk, czyż zwroty i słowa nie tesame i czyż nie typowe i to, że ten właśnie nie nazbyt wielki i parnasowy poeta dostąpił tego największego zaszczytu, że jego pieśń staje się pieśnią narodową? — Bo ten śliczny wierszyk napisał ktoś, o kim nie zawsze się pisze w historiach literatury niemieckiej, ale o którym zawsze będzie wzmianka w historii samego narodu niemieckiego — poprostu autor *„Deutchland, Deutchland über alles"* — August Henryk Hoffman *von Fellersleben.*

Ilekroć czytam te proste wiersze, jestem niebywale wzruszony. Jakież to piękne były czasy, kiedy te wiersze powstawały, gdy na uniwersytetach niemieckich wbrew wszystkim i wszystkiemu wykuwano zjednoczenie Niemiec i walczono o naród, słowo zakazane, bo tylko państwo było dopuszczalne. I przyjemnie mi pomyśleć, że jednak nasza epoka podobna i nasze walki te same... A zwycięstwo? także nasze będzie jak tamtych zapaleńców sprzed stulecia.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

DWA PARLAMENTY. — Układ życia politycznego jest obecnie taki, że w epoce głoszonego i obwieszczonego nawet upadku systemu parlamentarnego mamy w Polsce aż dwa parlamenty. Jeden wybrany w niemych wyborach dnia 8-go września roku ubiegłego sejm z ulicy Wiejskiej, drugi to Rada Miejska w Łodzi, istotny wyraz dążeń, prądów i ścierających się linii politycznych w Polsce.

Porównajmy obie instytucje.

Łódzka Rada Miejska nie jest ciałem ustawodawczym, sejm z ulicy Wiejskiej p r a w i e nim nie jest, możność bowiem wydawania dekretów przez osobę Prezydenta Rzeczpospolitej wyręcza go, jak wiemy z obserwacji praktyki, doskonale. To jest podobieństwo. A różnice?

Sejm reprezentuje wyłącznie obóz zwany powszechnie „sanacją", a dyskusje na plenum i w komisjach ukazuje wcale poważne rozdźwięki i walkę w tym obozie. Nie o to wszakże chodzi. A więc Sejm mający reprezentować w gruncie rzeczy naród, czy „ogół obywateli" (jak chce ostatnia Konstytucja) reprezentuje grupę, która wprawdzie odgrywa poważną rolę, ba! — wzięła na swe barki odpowiedzialność przed historią, ale grupę, której w narodzie, czy nawet tym „ogóle obywateli" wcale niema, jak wykazały właśnie... ostatnie wybory łódzkie. Bo wybory te rzeczywiście wykazały istotne oblicze życia naszego, grę sił, strony walczące i sens walki. Wykazały, że naród przebiegają dwa prądy ideowe głębokie, mające określone swoje łożyska, wrogie, których się broni, o których panowanie się walczy, poświęcając mienie i życie. Wykazały, że naród posiada rumieniec życia, że odwraca się od bezkrwistej i bałamutnej idei „bezpartyjności", będącej niczem innym, jak synonimem oportunizmu, bezmyślności, frazeologji bez treści.

W tej sytuacji dotychczasowy komisaryczny prezydent miasta pełni rolę policjanta regulującego ruch. Stara się o zachowanie równowagi. Nie jest żywą ulicą, jest automatem. Nie jest masą, jest jednostką, jednostą będącą w gruncie rzeczy funkcją a nie przewodnictwem. Odbicie w soczewce miasta całości stosunków w państwie.

Przedziwny to, zaiste, układ stosunków!

Parlament łódzki, jak było do przewidzenia, nie ogranicza kręgu zainteresowań do granic swej gminy. Na inauguracyjnym posiedzeniu w czwartek, dnia 17-go grudnia b. r., odrazu na wstępie, bezpośrednio po zagajeniu posiedzenia przedstawiciel Klubu Narodowego mec. Kowalski odczytał deklarację w sprawie Gdańska, domagając się utrzy-

mania w nim praw suwerennych Polski. „Chcielibyśmy — głosiła deklaracja — by, słowa nasze usłyszane zostały zarówno przez polski rząd, jak przez naród niemiecki". A dalej: „Przemawiając w imieniu całości naszego obozu a tym samym i w imieniu lwiej części narodu, oświadczamy, że Naród Polski stanowiska Polski w Gdańsku naruszyć nie pozwoli nigdy, w żadnych okolicznościach i za żadną cenę". Powtarzamy: „...w imieniu naszego obozu a tymsamym i w imieniu lwiej części narodu..." Oto prawdziwe, istotne posłowanie.

A więc — dwa mamy parlamenty, przyczem w jednym, tym wybranym przez wszystkich niema żadnego (dosłownie) przedstawiciela tej grupy, która się składa na całość składu formalnego Sejmu Rzeczypospolitej.

Historyk ustroju będzie miał z ciekawym wypadkiem do czynienia. Dziwy... Dziwy...

„ICH DIEN"

W NUMERZE 524 „Kuriera Poznańskiego" rocznika 1936 pomieszczono w stałej rubryce „Uwagi" rozważania na temat zmiany haseł głoszonych w Sowietach. Ponieważ nowe hasło sowieckie zapożyczono wedle autora notatki z Anglii, przeto autor sięgnął także do haseł i dewiz angielskich, między innemi uwagami pisze on co następuje. „O upodobaniach (Anglików dla cudzoziemszczyzny świadczy także herb księcia Walii, gdzie jako dewiza figuruje niemieckie *„Ich dien"* (Służę), jakgdyby nie było w języku angielskim na to odpowiednika".

Tak się szczęśliwie złożyło, że na kilka dni przedtem przeczytałem książkę B. Chełmińskiego p. t. "Masoneria w Polsce spółczesnej". Z książki tej dowiedziałem się, że hasłem różokrzyżowców jest właśnie „Służyć" (str. 109). Hasło to powtarza się także w masońskiej organizacji *„Rotary Clubów"* (str. 117). Jakkolwiek nie jestem historykiem, ani też badaczem masonerii, to omawiana zbieżność haseł bardzo mnie zafrapowała.

Uprzytomniono mi wtedy, że książe Walii jest podobno z zasady wielkim mistrzem angielskiej masonerii. Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby nosił w dewizie herbu swojego masońskie hasło i to hasło najpoważniejszej organizacji masońskiej, jaką podobno stanowią różokrzyżowcy. Powstanie tego hasła odnosi tradycja do wieku XIV. Było ono podobno pierwotnie używane przez króla czeskiego Jana Luksemburskiego. Kiedy ten awanturniczy król padł w bohaterski sposób w bitwie pod Crecy (1346), przeciwnik jego angielski król Edward dał swojemu synowi księciu Czarnemu jego trzy strusie pióra oraz dewizę *„Ich dien"* do herbu. Dewiza pozostała w herbie książąt Walii aż du czasów dzisiejszych.

Tyle mówi legendarna tradycja. Zdaje mi się, że tradycja związana z masońskiem *„Ich dien"* może mieć dla badaczy tajnych związków pewne znaczenie. Najpierw tedy trzeba pamiętać, że wedle masońskich podań zakon różokrzyżowców miał powstać właśnie w czternastem stuleciu. Wprawdzie nie wszyscy badacze na to się zgadzają, ale omawiane właśnie *„Ich dien"* poświadczone u dwu panujących XIV stulecia t. j. Jana Luksenburczyka i angielskiego księcia Walii, mogłoby stanowić dowód i ślad różokrzyżowców ze średniowiecza. Nie pozbawiony też ciekawości dla historyka związków tajnych będzie zapewne fakt późniejszych nieco ruchów sekciarskich właśnie w Anglii i w Czechach, t. j. wystąpienia angielskiego Wiclifa oraz czeskiego Husa, tak ściśle ze sobą związanych.

Jan Luksemburski był, jak wiadomo, wielkim nieprzyjacielem Polski. On to w konsekwencji swej akcji antypolskiej oderwał od Polski piastowski Śląsk. On też był wielkim przyjacielem Krzyżaków.

Wartoby tę jego przyjaźń z Krzyżakami rozpatrzyć pod kątem widzenia jego prawdopodobnego należenia do zakonu różokrzyżowców. Kto wie, czy już wtedy nie istniał jaki wielki plan rozbioru Polski, popierany przez związki tajne i kto wie czy Krzyżacy, przodkowie państwa pruskiego, nie mieli z temi tajnemi związkami jakichś kontaktów? Mogli oni przy swych międzynarodowych związkach politycznych być kierownikami ówczesnych tajnych organizacyj.

*

Kiedy już jesteśmy przy dewizie różokrzyżowców „służyć", to chcę jeszcze zwrócić uwagę na niektóre analogie i rozbieżności dewiz i haseł współczesnych ze starem masońskiem hasłem.

Tak tedy starsi skauci angielscy mają także hasło „służyć". Utrzymują oni przytem nakazywane przez Baden-Powella stosunki z masońskimi rotarzystami. Pewną degeneracją, oczywiście w rozumieniu etnologicznem, jest polska harcerska służba bliźnim, codzienny dobry uczynek i t. p. Wspomnieć tu także należy odznakę I brygady „Za wierną służbę". Najciekawszym i niewytłumaczonym dla nas jest fakt występowania różokrzyżowców w dewizie Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej. Hasło to brzmi: „Sprawie służ"— odpowiedź na nie „Służyć chcę".

W symbolice odznaki za wierną służbę i odznaki harcerskiej występuje przytem jeszcze inny symbol masoński, którym jest grecki krzyż, t. j. krzyż taki, „w którym ramię pionowe przecina się z ramieniem poziomem dokładnie w połowie". A krzyż taki jest, jak o tem wspomina K. K. Morawski (Zródło rozbioru Polski str. 134—5) krzyżem kawalerów Rosecroix.

Oczywiście niech nikt moich przypuszczeń nie bierze zbyt dosłownie. Symbolika jest zjawiskiem dość zawodnem. Organizacje, o których tu mowa, mogły całkiem nie mieć żadnego kontaktu z masonerią. Mógł tu działać prosty przypadek, np. bezkrytyczne i nieświadome naśladownictwo. Mogły jednak w nich także działać jaczejki masońskie, które swoją symboliką znaczyły swe ślady zarówno dla potomności, jak też dla współczesności. Dla tego będzie dobrze, jeżeli zarówno harcerstwo, jak też przedewszystkiem K. Z. M. Z., zmienią swe podejrzane hasła i symbole. Byłoby też bardzo dobrze, gdyby władze duchowne przeprowadziły skrupulatne śledztwo, skąd w tak ważnej organizacji katolickiej wzięła się masońska symbolika. Śledztwo takie może w razie istotnego działania masońskiej jaczejki w K. Z. M. Z. uchronić tę organizację od większych szkód przygotowywanych na przyszłość. W każdym jednak razie należy skasować te symbole.

X. J.

NAUKA i LITERATURA

WYCHOWANIE „PAŃSTWOWE" W POMOCACH SZKOLNYCH

WYSZŁA z druku nowa książka o Żeromskim. Jest to zarys biograficzny w opracowaniu Stanisława A d a m c z e w s k i e g o. Przeznaczona jest do lektury dla uczniów 4-ej klasy gimnazjalnej. Pisana w miarę popularnie. Zamówiło ją i wydało Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie". Rozmiary pracy niewielkie— 124 strony interliniowane.

*

Książka jest piękna. Wystarczy powiedzieć, że pisał ją Adamczewski. Ale suponować należy, że wydawcy nadużyli zaufania autora i poczynili w niej zmiany, czy skreślenia, trudno bowiem przypuszczać, by Adamczewski, człowiek o wyrobionej w świecie naukowym opinii, chciał sam pozycję swą podrywać wydaniem pracy tendencyjnej, „przystosowanej" do wymagań dzisiejszego „państwowego" wychowania młodzieży. Życiorys zaś Adamczewskiego jest tendencyjny, bo wypacza i zaciera rzeczywistość, zniekształca prawdę, milczy o rzeczach zasadniczych i czyni reweranse w stronę upodobań lewicy i t. zw. czynników miarodajnych.

Referując młodość Żeromskiego, opiera się, jak sam to stwierdza, na pracy St. Piołun-Noyszewskiego p. t. „Stefan Żeromski, dom, dzieciństwo i młodość". W pracy tej powiedziano, że Żeromski za swych lat studenckich w Warszawie (1887—1889) współżył, współpracował i przyjaźnił się najbardziej z Machajskim i Romanem Dmowskim. Wspólnie pracowali oni nad uświadomieniem narodowym (wyraźnie: narodowym) warszawskich rzesz robotniczych, urządzając dla nich wykłady z zakresu historii i literatury polskiej tudzież nauk przyrodniczych. Wspólnie też opracowali ramowy program przyszłego stronnictwa wszechpolskiego.

„Szkolny" życiorys Adamczewskiego wymienia tylko jednego z przyjaciół Żeromskiego z tych lat.

Dmowski był w życiu polskiem olbrzymią pozycją dodatnią.

Machajski—w życiu cywilizacji powszechnej—był destruktorem.

A jednak... z dwu tych ludzi wybierając, pod patronatem władz oświatowych lepiej jest wymienić raczej... Machajskiego. O Dmowskim mówić nie należy. Zwłaszcza młodzieży szkół średnich. Dmowskiego w Polsce nie było. Nie można jej też mówić, że istnieje nacjonalizm i że Żeromski, mimo te lub owe odchylenia, przez całe życie zachował niezmienną linję nacjonalisty.

O „Głosie", który w okresie zbliżenia się doń Żeromskiedo był organem ludowym, demokratycznym, ale ponad wszystko i w pierwszej linii nacjonalistycznym i antyniemieckim, powiedziano, że „głosił demokratyzm, zbliżony do socjalizmu" a „stare hasło pracy organicznej korygował w duchu rodzimości, w duchu pokrewnym dążnościom dzisiejszego regionalzmu".

Zważmy: regionalizmu! Choćby nawet regionalizmu, byle nie wykrztusić słowa „nacjonalizmu", w duchu... „rodzimości" — byle tylko nie w duchu narodowym. O tem, że cały zespół ówczesnego „Głosu" był przeciwny socjalizmowi i stał się niebawem *in corpore* założycielem stronnictwa wszechpolskiego—ani słowa.

Wogóle—na całej przestrzeni życia Żeromskiego wspomina się tylko niepodległościowość socjalistyczną. Innej nie było. O tem, że istniał potężny prąd organizowania życia narodowego, z którem życie Żeromskiego sprzęgało się kilkakroć, że istniało wielkie stronnictwo, którego polityka wydźwignęła niepodległość Polski, o tem, że Żeromski czasu wojny ze stronnictwem tem współdziałał i jego zasługi gloryfikował—ani wspomnienia.

Młodzież się o tem dowiedzieć nie powinna. Zasługi ruchu narodowego, nawet jego imię — nie mogą, „nie śmią" być wspomniane. Że Żeromski zbliżył się z socjalistami, zaakcentowano bardzo silnie, ale, że od nich odszedł, że z nimi zerwał, nie dowiadujemy się z książki tej bynajmniej. Dziwna rzecz: nawet socjaliści o tem pisali.

Mówiąc o pracy uświadamiającej narodowo rzesze robotnicze w r. 1888, nadmienia się, że nie była to „jeszcze" praca socjalistyczna, bo to w życiu polskiem dopiero później nastąpiło. (Stronnictw socjalistycznych wtedy, jak wiadomo, jeszcze nie było). A więc młodzież szkolna ma wyprowadzić stąd prosty wniosek, że pracę narodowo uświadamiającą zorganizowała na dobre, ogarnęła i zmonopolizowała w następstwie P. P. S.

O tem, że pracę tę prowadzili wówczas też ludzie przyszłego obozu narodowego, że obóz ten jeszcze ją wzmocnił i stworzył silne kadry działaczy oświatowych—nie wspomina się wcale, a nawet nie pozwala domyślać, że tak być mogło. Natomiast wolno mówić o P. P. S. Trzeba mówić o P. P. S. Trzeba ją nawet reklamować. Tego wymaga dzisiejsze wychowanie państwowe. Dzisiejsze czynniki oficjalne patrzą na to życzliwem okiem. Przetrzepało się tam gdzieś w lasku Libermana, nastraszyło i tak i owak kilku czerwonych wodzów w Brześciu, aleć to towarzystwo od jednego stołu i już się wzajem do tego stołu pocichutku nanowo zaprasza.

Przy charakterystyce Żeromskiego z okresu jego pierwszej podróży za granicę w r. 1892 nie dało się pominąć, że miał on awersję do postępowców. Ale czynnikom, które wydaniu książki patronowały, niemiło jest to słyszeć. Nie powinna też wiedzieć młodzież, że Żeromski mógł nie znosić postępowców, protoplastów dzisiejszych ideologów wychowania „państwowego". I dlatego w cytacie z listu pisarza „przerabia" się wyraz „postępowców" na „postępowiczów", aby czytelnik, a zatem uczeń, zgoła nie wiedział co ma Żeromski na myśli i o co mu chodzi.

To nie jest błąd zecerski. Książka, przeznaczona dla użytku szkolnego, korygowana jest aż nadto starannie. Przy tem sama sztuczność wyrazu, jego niezrozumiałość i obca duchowi języka budowa skłonićby winny do niezwłocznego skonfrontowania ze źródłem. Omyłka wykluczona.

To nie błąd. To... wychowanie „państwowe".

D. M.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Państwową nagrodę literacką za r. 1936 przyznano Kazimierzowi Wierzyńskiemu, autorowi zbiorków poezyj lirycznych „Laur Olimpijski" (już raz nagrodzony), oraz „Wolność tragiczna". Poza nim kandydatami do nagrody, jak głosi komunikat, byli Karol Irzykowski i Artur Górski. Nagroda wynosi zł. 5,000. Sądowi konkursowemu przewodniczył W. Sieroszewski, rzeczoznawcą z ramienia krytyki literackiej był Ostap Ortwin (Katzenelenbogen) ze Lwowa. Wierzyński należy do składu redakcji półurzędowej „Gazety Polskiej". Pochodzi z Małopolski Wschodniej (Drohobycz). Pierwsze liryki drukował w Kijowie r. 1918 (październik) w dzienniku „Przegląd Polski".

*

Z powodu powyższej nagrody należy zrobić uwagę, że sąd konkursowy niewłaściwie postąpił, ogłaszając w komunikacie współzawodników. Jest to przykrość i dla laureata i dla osób wymienionych obok niego. Nie wypada przecież zostawiać tak niewspółmiernych wartości i zasług, jak Wierzyński i Górski. W oczach publiczności tak to wygląda, jakby Górski mniej był wart od Wierzyńskiego. Nie wszyscy bowiem wiedzą, że o ważeniu prawdziwem wartości i zasług w tego rodzaju konkursach, nie może być mowy.

Nagroda pieniężna dla upatrzonego laureata była wystarczająca; pocóż mu dodawać drugą jeszcze większą w postaci zwycięstwa nad Górskim? Co się działo w trybunale, to jego sprawa wewnętrzna, ale ten afront dla zasłużonego pisarza jest zupełnie niepotrzebny. Komunikaty tego rodzaju są nietaktowne.

RUCH WYDAWNICZY

Wychowańcy szkoły sandomierskiej, mieszczącej się w gmachu b. kolegium jezuickiego, na zjeździe koleżeńskim, zwołanym do Sandomierza w r. 1925, zorganizowali się w stowarzyszenie pod nazwą Koła Sandomierzan. Obecnie Koło wydało piękną publikację w postaci pierwszego tomu „Pamiętnika Koła Sandomierzan”. Jest to spory tom (216 stron) na welinie, ilustrowany, zapełniony pracami historycznemi i wspomnieniami.

Na czele tomu bardzo wartościowe studium historyczne Witolda Kieszkowskiego p. t. „Kolegium jezuickie w Sandomierzu”, ozdobione wielu rycinami. Dzieje tego gmachu, istniejącego od r. 1605, uzupełnia następna praca ks. Stan. Bednarskiego p. t. „Kulturalne dzieje Jezuickiego Kolegium w Sandomierzu”.

W dziale drugim, pamiętnikarskim, zamieszczono prace 17 autorów w porządku chronologicznym opisywanych lat (1856—1921). Niemało tu rzeczy ciekawych. Dział trzeci zapełniło Koło swemi sprawami organizacyjno-sprawozdawczemi. Są tam opisy Zjazdów, lista członków, rachunki.

Komitet redakcyjny tworzą Al. Patkowski, Winc. Burek i A. Ojrzyński.

*

Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku pragnąc przyczynić się do wzbogacenia materiałów rzucających światło na dzieje twórczości młodopolskiej, a równocześnie wobec zbliżania się dziesięciolecia śmierci Stanisława Przybyszewskiego spłacić dług wdzięczności, który społeczeństwo polskie w Gdańsku zaciągnęło w stosunku do poety rozwijającego tu w r. 1920—24 intensywną patriotyczną działalność na terenie Macierzy Polskiej, postanowiło wydać jego listy.

Zbiór zawiera ogół zachowanej korespondencji, rozłożonej równomiernie na wszystkie epoki życia poety od lat szkolnych do samej śmierci. Listy te zawarte będą w 3-ch dużych tomach. Firma „Parnas Polski“, której staraniem wydawnictwo będzie dokonane, ogłasza prospekt na prenumeratę.

*

M. S. Gillet Z. K. „Kształtowanie charakteru“. Przekład autoryzowany Jadwigi Suchodolskiej. Księg. św. Wojciecha. Str. 160.

Pod powyższym tytułem ukazała się, opatrzona pieczątką cenzury kościelnej, książka, wchodząca w skład większego cyklu: „Zagadnienia wychowawcze“.

Ma ona za przedmiot pedagogię katolicyzmu, udostępnioną dla świeckich, przy uwzględnieniu zarówno metody psycho-fizjologicznej jak i moralnej strony głównego zagadnienia. Ma za cel pożytek dla dusz — w wychowawczem i kapłańskiem rozumieniu tego pojęcia.

Nietylko bardzo inteligentnie pisana, oparta na najnowszej literaturze naukowej—ale i czytać się da bez znużenia. Zwłaszcza tam gdzie wprost udziela czytelnikowi, w dyskretny zresztą sposób, codziennych rad i wskazówek z zakresu moralności chrześcijańskiej.

Polska inteligencja, spragniona dobrej lektury katolickiej, książki, dodajmy, pisanej właśnie dla świeckich, wdzięczna będzie tłumaczce za precyzyjną i powabną formę przekładu. (ST. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Przyjaciele niedawno zmarłego znakomitego krytyka francuskiego, Alberta Thibaudet, wydali z notatek po nim pozostałych książkę „*L'Histoire de la littérature française*” (od 1789 roku do ostatnich czasów). Liczni recenzenci tego ostatniego dzieła autora kapitalnych prac o Flaubert'cie, Ch. Maurras'ie i t. p., z zachwytem odzywają się o nim, podnosząc oryginalność i trafność wielu zawartych tu sądów literackich oraz charakterystyk poszczególnych pisarzy XIX-go zwłaszcza wieku.

Uderza tu również śmiałość uwag poczynionych w książce Thibaudet'a z powodu najścia na literaturę francuską autorów pochodzenia żydowskiego. Szczególniej zaznacza się to we współczesnym teatrze francuskim. O tem tak pisze Thibaudet:

„Jedna z bojowych książek przeciw Porto-Riche (autor licznych dramatów, członek Akademii) nosi tytuł: „*Le Racine juif*“. Tytuł ten jest słuszny, Porto-Riche bowiem, jak C. Mendès, był jednym z żydów portugalskich z Bordeaux, reprezentujących chętnie gorączkową zmysłowość. I można powiedzieć, iż „*L'Amoureuse*“ stała się założycielką pewnego rodzaju teatru żydowskiego, który rychło znalazł swe powinowactwa oraz teren właściwy w grupie żydów z liceum Condorcet, która założyła „*La Revue Blanche*“ (w grupie tej odgrywali znaczną rolę bracia Natansonowie, krewniacy warszawskich). Teatr ów sympatyzował z teorią miłości nomadów, poligamiczną i poliandryczną, którą Leon Blum, krytyk dramatyczny grupy, wyraził w swojej książce „*Du Mariage*”, a Tristan Bernard (żyd) zobrazował w powieści „*Un mari pacifique*“.

Romain Coolus (żyd) był przez dziesięć lat jej dramaturgiem, od „*L'Enfant malade*“ do „*L'Enfant chérie*“.

Pomiędzy tymi, którzy mieli dwadzieścia lat w ostatniem dziesięcioleciu XIX wieku, teatr ten, jednocześnie bardzo paryski i bardzo żydowski, zrodzony oczywiście na rozkładzie powierzchownym wielkiej stolicy, zwiększył swój hufiec następującymi autorami: Francis de Croisset (ur. Franz Wiener), Nozière (Fernand Weil), który się wyspecjalizował w rozpuście w rodzaju XVIII wieku, André Picard, którego „*La Jeunesse*“ została wyróżniona; Edmond Sée, którego „*La Brebis*“ jest jedną z dobrych sztuk z końca wieku. Różnica pomiędzy autorami chrześcijanami a żydami, jest jedną z tych, z jakiej, poczynając od 1890 r., krytyka może korzystać dla ustalenia tych kategoryj”.

Z powyższego, tak niezwykłego w literackich stosunkach Francji poglądu na twórczość literacką żydów, można wnosić, iż nawet nieuprzedzonemu do nich radykałowi, jakim był Thibaudet, którego nikt nie nazwie „reakcjonistą”, ani „faszystą” — współudział ich w życiu duchowem Francji wydawał się czemś niezdrowem i nieznośnem. (W. J.)

MUZYKA

FILHARMONIA. Cały przekrój czasu od Berlioza, Brahmsa poprzez nokturny symfoniczne Debussy'ego aż do Igora Strawińskiego. Zmiana nietylko tego, co nazywamy stylem, ale i zmiana człowieka, jego stosunku do twórczości muzycznej, jego sposobu reakcji. Jeśli kiedyś nieumiano słuchać, jak i dzisiaj zresztą, Berlioza, to mimo to, był im wówczas bliższy. Łatwiej nam obecnie jest pojąć, aniżeli odczuć. Kiedyś było właśnie przeciwnie.

Jak się dzisiaj ustosunkujemy do Debussy'ego? Czy jesteśmy w stanie tak żywo i niekłamanie dać się owej przedziwnej i będącej niedawno jeszcze jakimś niezwykle, śmiałym wtrętem „prawdziwego Francuza”? Mam wrażenie że Debussy przechodzi obecnie okres szczególnie dla siebie nieprzychylny. Nowatorstwo, które niegdyś pobudzało do polemiki, nakazywało mieć słowa uznania, obecnie jest pamiątką i świadectwem swojego okresu. Ile wzruszeń i jakie wzruszenia wywoływał poemat muzyczny „*La Mer*“... Poczynam rozumieć, dlaczego właśnie obecnie, właśnie teraz Debussy... A jednak zawsze wielki, twórczy i śmiały, nawet gdy się nie podoba, gdy nie może się już (potrwa to trochę) podobać.

W ubiegły piątek Anzemet poprowadził „*Nuages*“ i „*Fete*“. „*Nuages*!“ — charakterystyczny motyw, tak lubiany, tak częsty w malarstwie. Cóż bardziej zmiennego, dającego chwilę, którą należy schwycić i zanotować? Cóż bardziej przekornego w stosunku do statycznej pozy klasycyzującej, bo przez grzeczność nie powiem „starzejącej się”, sztuki poprzedzającej Moneta, Renoire'a, Debussy'ego i innych? Łatwo jest łączyć tych malarzy i tego muzyka w jeden szereg. Nie dlatego, że już wiemy napewno, iż wszyscy są przedstawicielami impresjonizmu, ale dlatego, że wizja Debussy'ego była z gatunku plastycznych, a tylko środki wypowiedzi inne, muzyczne.

„Cały przekrój czasu od Berlioza, Brahmsa poprzez... aż do Igora Strawińskiego”. No, i Romana Palestra. Strawińskiego nam pokazano we fragmentach jego „Żar-ptaka”. Wiadomo—poza fragmenty z „Pietruszki”, Filharmonia uparła się i nie chce dalej niczego pokazać. Pisałem już o tem... A tymczasem „Taniec z Osmołody”, to w dużej mierze konsekwencja twórczości genialnego współczesnego nam Rosjanina z okresu jego pamiętnej współpracy z Diagilewem. Nawet warunek wykonania stawiany orkiestrze ten sam, taki sam, jaki stawiał autor „Obrzędu Wiosny” swoim wykonawcom.

„Taniec z Osmołody” ma jeszcze inny rodowód. Zupełnie już polski. Jest konsekwencją i odkrycia Podhala przez Karola Szymanowskiego, odkrycia, które łańcuchem karpackim zawędrowało na Huculszczyznę, dając nam ów palestrowy utwór, a także bardzo dobrą „Suitę huculską” na skrzypce Maklakiewicza.

Wydaje mi się, że Anzemet dobrze pojął intencje kompozytora. Jakaż rozpiętość interpretacji — „Osmołoda” i „*Nuages*”! Twierdzę, że Debussy'ego nigdy nie można grać za subtelnie.

Koncert skrzypcowy Brahmsa odtworzył Busch. Dorzucenie nad program Bacha świadczyło o kulturze muzycznej tego dużej miary skrzypka.

W. NARUSZ

FILM

ROMA: „Władca Kalifornii“, film niemiecki.

Reżyser tego filmu i odtwórca w nim głównej roli, Louis Trenkner, dał się nam poznać razem z Leni Riefenstahl w wielu filmach „górskich“, również własnej reżyserii. Tym razem zdradził śniegi na rzecz południa, kreśląc romantyczne i awanturnicze dzieje pierwszych osadników z Kalifornii. Zdrową i rzeźką atmosferę wśród gór zastąpił tu zdrowy morał, a nawet dwa. Pierwszy jest dość banalny (pieniądze nie dają szczęścia), drugi, już ciekawszy, zamyka tragiczny finał akordem otuchy i głosi, że dzieło rąk ludzkich przetrwa, choć twórca tego dzieła ginie zepchnięty na dno przez życie.

Samo wykonanie filmu skłania nas do zastanowienia się nad kwestią narodowego stylu w dziele filmowem. Bowiem temat umieszcza ten utwór w najbliższem sąsiedztwie amerykańskich filmów o cowboyach, lub poszukiwaczach złota. Miały te filmy zazwyczaj dobre tempo i sporą dawkę ruchu, to też przy całej swej bezpretensjonalności i niefrasobliwej treści zachowały najistotniejsze pierwiastki sztuki filmowej.

Otóż interesującem będzie stwierdzić, jak tu reżyser i aktor niemiecki, biorąc temat dobrze nam znany z produktów U. S. A., zupełnie inaczej go ujmuje. Już sam początek jest zgoła odmienny. Wygrany fragmentami, sposobem ujęcia przypomina utwory kameralne, przyczem nastrój pogłębia odpowiednio pomyślana fotografia. Wogóle fim ma wiele dobrych zdjęć, wrażenie pewnej monotonii wywołuje tylko grupowanie w zbyt bliskiem sąsiedztwie podobnie pokazanych plenerów. Miejscami także trochę szwankuje tempo. Do lepszych natomiast należy scena zawiadomienia żony Suttera (pioniera-osadnika) o śmierci jej synów. Rozwiązanie tego fragmentu, b. staranna i naogół trafna reżyseria, znowu odróżniają ten film niemiecki od podobnych w temacie utworów amerykańskich. Sceny zbiorowe i wszystkie te, w których przeważa dynamika ruchu, a nie nastroju, to zn. dynamika zewnętrzna, a nie wewnętrzna, bardziej zbliżają utwór do typu amerykańskiego.

„Władca Kalifornii” został nagrodzony przez Mussoliniego na wystawie filmowej we Włoszech, czemu nie należy się dziwić, zważywszy treść nagrodzonego utworu, gloryfikującą pracę nad przemianą nieużytków w żyzne pola.

APOLLO: „Ada to nie wypada”, reż. K. Tom.

Rzecz o charakterze rozrywkowym, nieźle zmajstrowana, ma dobre tempo i pełnym oddechem zmierza do finału. Jest to postęp, w stosunku do innych utworów tego rodzaju, gdyż zwykle podobnym komedio-farsom krajowej produkcji nie starczało tchu i już w połowie akcja załamywała się, tempo zamierało i wszystko rozłaziło się między palcami.

Czy jednak mamy twierdzić, że już jest dobrze, dlatego, że nie jest źle? W gruncie rzeczy w takich komedyjkach nie doszukasz się jakichkolwiek wartości filmowych, a przecież ich niefrasobliwy charakter i cel rozrywkowy bynajmniej nie wykluczają możliwości artystycznych. Prawdziwa sztuka zna różne rodzaje utworów; lekka piosenka powinna mieć właśnie lekkość, dowcip i finezję i to są jej znamiona artystyczne. Podobne cechy może także posiadać komedyjka filmowa i trzeba aby one były bardziej filmowym językiem wyrażane. Publiczność kinowa jest pobłażliwa, lubi polskich aktorów i rada, że wszystko rozumie, co oni do niej z ekranu gadają, nie wymaga zbyt wiele. Dlatego autorzy tych filmów nie oszlifowują zbyt precyzyjnie swoich utworów i jakieś subtelności, a zwłaszcza dowcipne pomysły plastyczne ani im w głowie.

Przytoczymy z tej komedii scenę zabawy u malarzy. Aktorzy robią ożywionych i wesołych, dużo tu krzyku i hałasu, a w rezultacie obraz zabawy wypadł blado i martwo. Dlaczego? Dlatego, że martwą i niepomysłową jest fotografia tych momentów. Ruch i werwę zabawy trzeba było oddać zapomocą pomysłowego i żwawego montażu siekaniny interesująco ujętych zdjęć. (Inne sceny zbiorowe, z panienkami na lekcji tańca i dobrych manier wypadły daleko lepiej).

Zarzut ostatni dotyczy filmu „Ada to nie wypada“, poprzednie, ogólne—wogóle wszystkich filmów tego rodzaju, granych u nas ostatnio. Wśród nich „Ada to nie wypada” bynajmniej najgorszego miejsca nie zajmie.

Pani Loda Niemirzanka miała dość temperamentu i talentu, by dobrze zagrać rolę córki-urwisa, z którą ojciec ma przeróżne kłopoty, zanim ją doprowadzi do przystani małżeńskiej.

KANDYD

ZMARLI

ZMARŁ w Warszawie w dn. 27 grudnia największy między współczesnymi malarz polski, Leon Wyczółkowski, profesor Warsz. Akademii Sztuk Pięknych.

Urodzony na Podlasiu w r. 1852 pracował w pełni talentu do ostatnich chwil, pomimo obarczenia 84 latami wieku.

Kształcił się początkowo w szkole W. Gersona w Warszawie, a potem (1874—5) w Monachium. W r. 1895 mianowany profesorem Akademii krakowskiej przetrwał na tem stanowisku do 1911 r. W latach 1928—1934 mieszkał w Poznaniu.

Galerie obrazów uważały za zaszczyt posiadanie obrazów Wyczółkowskiego. Im dalej szedł w życie, tem więcej zdumiewał wydajnością i różnorodnością pracy, oraz potęgą talentu. Czem był w malarstwie, trudno zdefiniować. Któż powie, czy był lepszym pejzażystą, niż portrecistą, akwaforcistą czy rysownikiem. Operował wszelkiemi możliwemi sposobami techniki, coraz je udoskonalając.

Śmierć Wyczółkowskiego pokrywa żałobą świat sztuki polskiej. Zapewniony ma wieczny żywot pośmiertny w dziełach. W.

NOWE KSIĄŻKI

Pamiętnik Literacki. Lwów 1936. Tom XXIII, zesz. 2 i 3.

Rzewuski Henryk. Listopad. Opracował Kon. Wojciechowski. Bibl. Nar. Lwów Ossolineum.

Tetmajer Kaz. Wybór poezji. Oprac. Jan Lorentowicz. Bibl. Nar. Ossolineum.

Ruch Literacki, Warsz. 1936, nr. 4.

Woliński Janusz. Polska i kościół prawosławny, Lwów 1936. Ossolineum. Str. 151.

Ostoja Bogdan. Ku Bogu i radości, (Bydgoszcz 1936). Nakł. własnym. Str. 72.

Makuszyński Kornel. Awantura o Basię. (Warsz. 1936). Gebethner i Wolff. Z ilustr.

Makuszyński-Walentynowicz. Na nic płacze, na nic krzyki—koniec przygód Fiki-Miki. Warsz. Geb. i Wolff. Ilustr. z wierszykami.

Bystroń Jan. Nazwiska polskie. Wyd. II. Warsz. 1936. Książnica-Atlas. Str. 334.

Grodecki Paweł. Sokolstwo warszawskie w czasie wielkiej wojny. Wspomnienia osobiste. Warsz. 1936. Str. 16.

POKŁOSIE

PO DZIESIĘCIU LATACH

DZIESIĘĆ LAT TEMU wyszła najpierw w języku duńskim, przetłumaczona jednak rychło na inne języki, pierwsza poważna książka o Rosji Sowieckiej, usiłująca zreasumować rezultaty osiągnięte przez bolszewicki porządek rzeczy w ciągu dość już długiego, bo ośmioletniego istnienia. Autorem był profesor duńskiego uniwersytetu Kalgren, znający język rosyjski i Rosję przedwojenną, gdyż był swego czasu lektorem w Petersburgu.

Książka wynikła ze skrupulatnych i sumiennych badań na miejscu człowieka nie powodującego się uprzedzeniami, mającego raczej sympatję, jeżeli nie do bolszewików, to do usiłowań ludu rosyjskiego wydobycia się z pod opresji rządów carskich, traktującego więc interesy tego ludu z wielką przychylnością. Rezultat badań był tym nie mniej ujemny. Położenie materialne mas rosyjskich niewątpliwie było gorsze, niż dawniej, o „władzy proletariatu" nie było oczywiście mowy, władzę sprawowała partyjna biurokracja, bez porównania bardziej arogancka i bezwzględna, niż było czynownictwo carskie. „Władza" proletariatu wyzyskana była całkowicie do zniszczenia istniejących instytucji gospodarczych po wsiach i miastach, gdy jednak przyszło do konstrukcji nowych, wówczas zaraz zaczęto brać proletariusza w tęgie kluby, w których wbrew woli menerów partyjnych ani drgnąć nie mógł. Członkowie partii komunistycznej, drobna grupa w narodzie, jako agitatorzy i szpiedzy trzęśli wszystkiem. Było to jeszcze przed zniszczeniem gospodarstw chłopskich, wieś była niewątpliwie wrogo do komunizmu usposobiona, ale proletariat miejski mimo wszystko był za tym nowym porządkiem. Dlaczego? — zapytywał się Kalgren, i znajdował tylko jedną odpowiedź: mimo całej biedy robotnik fabryczny widział, że innym jest jeszcze gorzej, rewolucja nadała mu przywileje, zrobiła zeń, chociaż teorerycznie jedyny stan uprzywilejowany, pozwoliła mu na moralne wyprostowanie grzbietu, podniesienie głowy chociaż o parę cali w górę. Ta moralna satysfakcja decydowała o utrzymaniu się reżimu, mimo opłakanych stosunków materialnych, w tych czasach, kiedy teror w stosunku do proletariatu nie był jeszcze tak wydoskonalony jak dziś i kiedy mogła być nawet mowa o strajku.

A jak stoją sprawy dziś, po dziesięciu latach od ukazanią się książki Kalgrena?

Mamy znów parę książek, poświęconych temu przedmiotowi, napisanych przez ludzi przychylnie do rewolucji usposobionych. Sekretarz generalny angielskich trade-unionów sir Walter Citrine (co za nazwisko, czyżby był krewniakiem paryskiego Citroena i wywodził się z naszych białostockich Cytrynów? Partykuła szlachecka przed nazwiskiem działacza robotniczego nie powinna dziwić: od czasu rządów R. Mac Donalda kilku socjalistów zostało nawet lordami, jak np. Snowden, Webb i in.) wydał pod tytułem „Poszukuję prawdy w Rosji" rezultat tych poszukiwań. Jest on taki sam, jak i Kalgrena przed dziesięciu laty, o ile chodzi o materialne położenie mas pracujących. Rosyjski robotnik, zajęty całkowicie, ma się gorzej, niż angielski bezrobotny, mieszka niżej krytyki, opieka społeczna jest słaba i niewystarczająca, stopa życia niesłychanie niska. Jednym słowem po dwudziestu prawie latach istnienia i po imponujących wysiłkach uprzemysłowienia kraju system bolszewicki nie zdołał zapewnić w tym kraju niewyczerpanych bogactw znośnego bytu swoim obywatelom. Ale nie to nawet uważa autor za najgorsze, ryzykuje nawet twierdzenie, że mimo wszystko robotnik rosyjski ma lepsze nadzieje i widoki na przyszłość, niż robotnik w krajach rozmaitych dyktatur. Natomiast fatalny jest według niego stan moralny. „Robotnik, czytamy tam, jest nominalnie panem, w rzeczywistości zaś musi robić co mu każą. Od dzieciństwa jego całe myślenie jest kontrolowane w sposób, jakiego nigdy nie osiągnął kapitalizm. Zaczyna się to już w żłobku fabrycznym i trwa przez całe życie. Propaganda jest wszechobecna, w radio, w kinie, broszurach, podręcznikach, afiszach, obrazkach. Nie ma przed nią ratunku i nie ma też sprzeciwu. Nigdzie nie ma żadnego źródła, z którego robotnik mógłby dowiedzieć się o odwrotnej stronie medalu. To jest okropne. Kapitalista usiłuje jak może kierować robotnikiem przez prasę i inne środki, ale jest na to sposób, jest mównica publiczna, opozycja, związek zawodowy, prasa robotnicza. Kapitalista nie może tak ordynarnie przekręcać prawdy, jak to się dzieje w sowietach".

A inny podróżnik, pełen sympatii dla sowietów, znany pisarz francuski A. Gide pisze, że sowiety trzymają się dzięki ignorancji, w jakiej utrzymywany jest cały naród.

Widzimy więc, że od czasu Kalgrena zmieniło się wiele. Zamiast moralnej satysfakcji na pierwszy plan wysunęła się zupełna ignorancja i teror. Nie są to zbyt pewne podstawy i wymagają nieustannej czujności i pewno dawno nastąpiło by tam załamanie, gdyby nie to, że zamiast niedbałych moskali straż trzymają żydzi.

ARGUS

NA MARGINESIE

MÓJ PROGRAM

Ty, Czytelniczko i Ty, Czytelniku!...
Czy zanucicie: —
„W śpiewnym twym tomiku
Struną eolską orla jest fantazja..."

Krzyczę: —
Hymn mój—to pierwsza Eurazja
Chemii i Mszału, Ołtarza z Naturą,
Tryumf to pyszny nad literaturą
Ery „potwornej", strojny to romantyzm
Realistyczny, to arystokratyzm
Socjalny Ducha, nordyzmu to klęska,
Lucyferskiego prawa, fiskalizmu.
Śmierć.
Narodziny Boga-Organizmu
Światu wieści pieśń moja czarnoksięska.

Na globie zbrojnym w braterskiej harmonii
Współżyjcie ludy!...
Głos mój słodko dzwoni.
Wszechdobra Bronię, Rozrywając Niemcy!
Dość!..
Zmęczyłem się...
Dziś nie powiem więcej...
Cyt! Finał skromny!...
Cieszy się firmament,
Że Trzeci Tworzę... Astralny Testament.

* * *

W psałterzach Polski niech me błyszczy imię...
Roję, marzę o... Dąbrowskiego hymnie.

[Z tomu poezyj Stan. Szwajcera p. t. „Na cmentarzu biły dzwony. Śpiewy demoniczne". Warszawa 1937. F. Hoesick].

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.